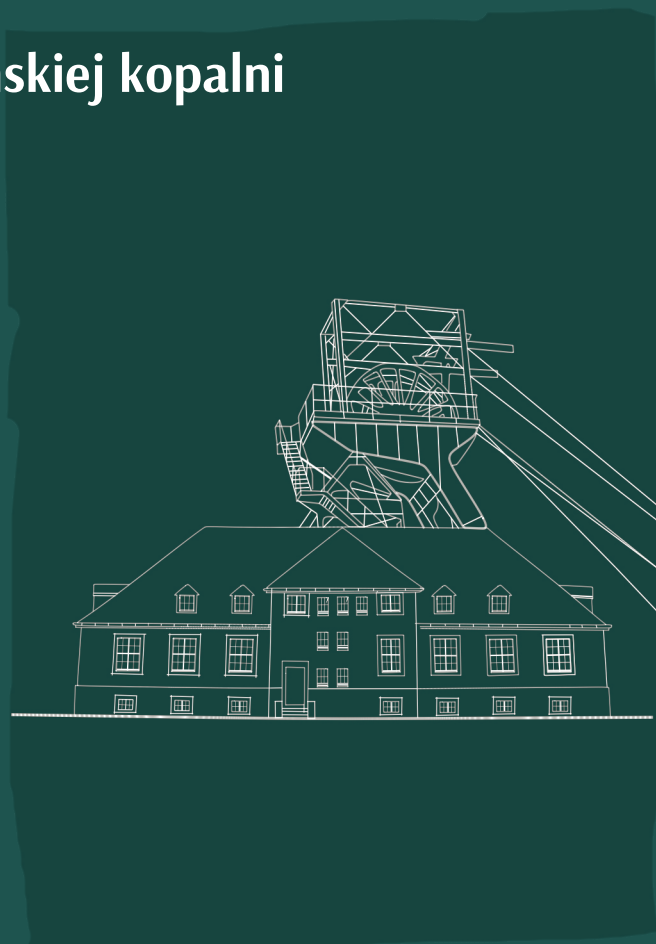
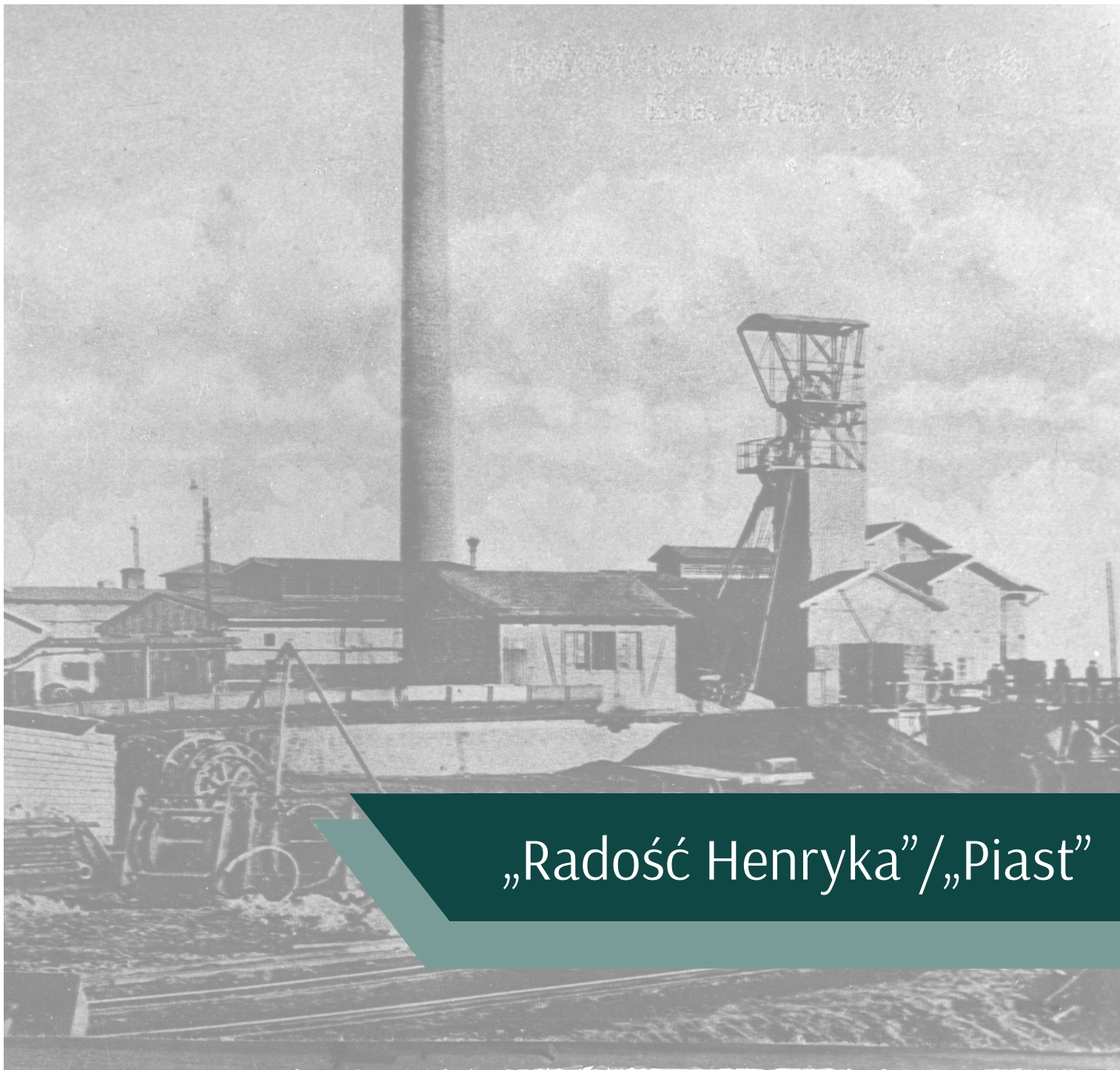


Od „Radości Henryka” do „Piasta”

Z dziejów łędzińskiej kopalni





„Radość Henryka”/„Piast”



Najstarsze zdjęcie kopalni „Radość Henryka” sprzed 1906 r.

Ryszard Kaczmarek

Kopalnia „Radość Henryka”/„Piast” Przyczynek do początków dziejów górnictwa węglowego na Górnym Śląsku

Nie zamierzam przedstawiać z podręcznikową dokładnością kolejnych faz funkcjonowania kopalni „Piast”. Znaleźć je można bez trudu albo w starszych publikacjach, chociażby Józefa Piernikarczyka, Ludwika Musioła, Jerzego Jarosa czy Oresta Spiralskiego, czy w obszernych częściach, które temu zagadnieniu poświęcono w monografii historycznej Łędzin pod redakcją Franciszka Serafina. Ostatnio o całościowe opracowanie dziejów kopalni postarał się także nieżyjący już niestety świetny znawca dziejów tej kopalni Rafał Bula. Możliwość łatwego dotarcia do danych dotyczących wydobycia i załogi łędzińskiej kopalni zwalnia mnie od ich podawania w tym tekście. Odsyłam wszystkich zainteresowanych takimi statystycznymi ujęciami do wspomnianej monografii R. Buli¹.

Poniższy artykuł skupiony jest na dziewiętnastowiecznych początkach górnictwa węglowego w Łędzinach, ponieważ ówczesne stosunki na ziemi pszczyńskiej są ważnym uzupełnieniem wiedzy o kształtowaniu się nowej przestrzeni i nowego społeczeństwa w okresie industrializacji. W takich wsiach jak dawna feudalna wieś Łędziny czy kolonia osadnicza Hołdunów zachodziły wówczas burzliwe procesy urbanizacyjne, między innymi charakteryzujące się powstawaniem osiedli robotniczych, a w sferze społecznej z rodzącą się nową strukturą zawodową w czasie uprzemysłowienia.

¹ Por.: Rafał Bula: Z dziejów górnictwa węglowego w Łędzinach. Kopalnia "Heinrichsfreude" I i II ("Radość Henryka") I i II: wydarzenia, fakty, materiały. Część 1. Łędziny 2014; Tenże: Z dziejów górnictwa węglowego w Łędzinach. Kopalnia "Piast": wydarzenia, fakty, materiały. Część 2. Łędziny 2019.

Wydaje się więc, że ważne jest dzisiaj pytanie o źródła tej rewolucyjnej zmiany. Odpowiedzi, dlaczego na ziemi pszczyńskiej zaczęła się historia wydobycia węgla kamiennego. W tym kontekście, w porównaniu z innymi górnośląskimi kopalniami, można genezę kopalni „Piast” pokazać nie tylko jako efekt pogoni za zwiększaniem wydobycia węgla kamiennego, ale również jako proces społeczny i kulturowy.

Geneza górnictwa węglowego w Łędzinach

Dzisiaj spoglądamy na historię górnictwa węglowego na Górnym Śląsku z innej perspektywy niż widzieli to ludzie 200 lat temu, kiedy zaczęły powstawać pierwsze kopalnie głębinowe. Współczesne oceny biorą pod uwagę konsekwencje, jakie przyniosła ze sobą industrializacja dla środowiska naturalnego. Obecnie bardziej istotne wydają się być problemy dotyczące rewitalizacji obszarów po dawnych polach górniczych i wyzwania jakie za sobą niesie konieczność radykalnej zmiany struktury zawodowej, a w ślad za tym społecznej, niż zachłyśnięcie się poziomem wydobycia w przeszłości. Węgiel nie jest postrzegany dzisiaj w regionie jako szansa rozwoju, co wpływa na nierzadkie negatywne oceny decyzji o uprzemysłowieniu Górnego Śląska, jaka zapadła u schyłku XVIII w. w państwie pruskim.

Z punktu widzenia historyka jest to jednak podejście ahistoryczne. Kiedy powstawała w połowie XIX w. pierwsza łędzińska

kopalnia, to oczywiście argumenty oparte na chęci pozostawienia środowiska w nienaruszonym stanie albo przekonanie o konieczności zrównoważonego rozwoju, dzisiaj wszechobecne w dyskusjach publicznych, wówczas nie zostałyby zrozumiane ani przez tych, którzy te inwestycje finansowali (państwo pruskie i prywatni właściciele, głównie szlachta i burżuazja), ani przez zwykłych mieszkańców wsi, gdzie powstawały kopalnie. Dla jednych i drugich odnalezienie złóż węgla, a przede wszystkim rozpoczęcie jego wydobycia oznaczały postęp i stopniowe polepszenie warunków życia. Do tej pory pracujący od wieków na swoich gospodarstwach chłopci teraz ochoczo byli gotowi zrezygnować z uprawiania ziemi i nieraz pokonywali pieszo wiele kilometrów, byleby tylko znaleźć zatrudnienie w nowej kopalni lub hucie. Oznaczało to dla nich stały dochód, często znacznie wyższy niż można było go uzyskać po uwłaszczeniu z rolnictwa, a ponadto szansę na awans społeczny w drugim lub trzecim pokoleniu.

Ten dziewiętnastowieczny entuzjazm do industrializacji jednak oczywiście nie wystarcza dla wyjaśnienia boomu, którego efektem było drażnienie na Górnym Śląsku setek mniejszych i większych kopalń na przełomie wieków XVIII i XIX. By wydobywać surowiec na tak wielką skalę, potrzebny był znacznie większy popyt, niż ten który wynikał z zapotrzebowania gospodarstw domowych, gdzie używano go od dawna, bo łatwo było znaleźć go na powierzchni, a dawał przecież więcej ciepła niż drewno. Jednak był niebezpieczny, groził zarówno zatruciem, jak i pożarem. Nie z tego powodu więc pojawiło się to wielkie zapotrzebowanie na węgiel kamienny. Kiedy przyjrzymy się pierwszym wzmiankom o sprzedaży węgla, łatwo dostrzeżemy, co było prawdziwą przyczyną drażnienia kopalń głębinowych w Pszczyńskim.

Najstarsze dokumenty o sprzedaży na ziemi pszczyńskiej węgla kamiennego pochodzą z XVIII w., jednak dotyczą surowca nie wybieranego w kopalniach, ale ładowanego bezpośrednio na wozy z pokładów wychodzących na powierzchnię. Kronikarz dziejów księstwa pszczyńskiego, Ezechiel Zivier, pisał przed ponad stu laty, że pierwszy rachunek potwierdzający uzyskiwanie dochodu ze sprzedaży węgla kamiennego został wystawiony w 1740 r. Sprzedano wówczas 9 fur węgla, a miejscem, skąd go wywożono, był teren znajdujący się między dzisiejszą Kostuchną a Murckami („Jagen Kotlisko” w rewirze leśnym Kostuchna). Nie przypadkiem rachunek został wystawiony przez leśnictwo, bo to leśnicy zajmowali się wówczas sprzedażą surowca, który odnajdywano na powierzchni, nie pod ziemią. Wystarczyło go tylko załadować na furmanki i wy-

wieźć z lasu. Jego odbiorcami nie byli już okoliczni chłopci, kupowali go kowale posiadający kuźnice, niekiedy jak na ówczesne czasy dość odległe - w Bytomiu i w Gliwicach - i wymagające zorganizowania transportu. W tym czasie podobnego „odkrycia” złoża węgla kamiennego wychodzącego na powierzchnię dokonano także w Łędzinach. Zachowała się wzmianka, że około 1775 r. niejaki Hausleutner, ewangelik pochodzący z Jeleniej Góry i pracujący dla księcia pszczyńskiego, dostrzegł węgiel, spacerując po okolicy. Próbował nawet węgiel kamienny do opalania pieców, a także w bielniku łędzińskim. Jednak w odróżnieniu od Murcek wtedy w Łędzinach węgla kamiennego nikt nie sprzedawał.

W dobrach księcia pszczyńskiego przystąpiono niebawem do wydobycia w pierwszej kopalni głębinowej. W 1769 r. książe pszczyński Friedrich Erdmann Anhalt-Köthen odebrał leśnikom zarządzanie nad wybieraniem węgla i wyznaczył specjalnego nadzorcę o nazwisku Uhle sprowadzonego z głębi Niemiec, odpowiedzialnego także od tej pory za produkcję w Hucie Paprockiej w Paprocach. Tak powstała pierwsza kopalnia w Murckach. Sprowadzono z hrabstwa Wernigerode najpierw dwóch wykwalifikowanych górników, a nowa kopalnia uzyskała nazwę „Emanuels Segen/Murcki”. Kiedy rozpoczęto regularne wydobycie, zatrudniano w niej początkowo tylko 10 górników, a przy wydobyciu pracowało jednorazowo nie więcej niż pięciu. Była więc jak na dzisiejsze standardy niewielkim zakładem. W ciągu dniówki jeden górnik wydobywał do 30 szefli¹, a więc około 1,5 tony węgla. Zatrudnienie i wydobycie na kopalni Murcki jednak stopniowo rosło, co świadczyło o tym, że popyt był coraz większy, a inwestowanie w górnictwo węglowe na ziemi pszczyńskiej stało się atrakcyjnym finansowym przedsięwzięciem.

Zapotrzebowanie na węgiel kamienny, w tym także w dobrach pszczyńskich, wynikało więc z nagłego przyspieszenia industrializacji po zajęciu Śląska przez Prusy. Pierwszy impuls dla modernizacji gospodarki w prowincji śląskiej wyszedł od państwa, jeszcze za panowania Fryderyka II Hohenzollerna. Kluczową rolę w tym przedsięwzięciu odegrał hrabia Friedrich Wilhelm von Reden, który dzięki poparciu pruskiego ministra przemysłu barona Antoniego von Heinitza i po studiach oraz pobycie w Anglii, został w 1779 r. dyrektorem królewskiego Wyższego Urzędu Górniczego we Wrocławiu. Jego dziełem było także utworzenie urzędu górniczego w Tarnowskich Górach i szkoły górniczej w Świerklańcu. Zgodnie z pruskim prawem górniczym węgiel kamienny zaliczano jeszcze w XVIII w. do kró-

¹ 1 szefel = ok. 50 litrów.



Kopalnia i jej pracownicy
w dwudziestoleciu międzywojennym



Widok na szymb Matyllda w 1920 r.

lewskiego regale, dlatego jego wydobycie prowadziły w tym pierwszym okresie głównie kopalnie państwowe. Właściciele prywatni musieli uzyskać od państwowego urzędu górniczego zgodę i tak było również w przypadku zgody na wydobycie w dobrach księcia pszczyńskiego.

Reden podczas swojego pobytu w Anglii poznał nowe metody wytopu żelaza technologią wielkopiecową, gdzie najpierw także wykorzystywano węgiel drzewny, ale potem unowocześniono metody wytopu i w Anglii stosowano już wtedy węgiel kamienny i koks. W 1789 r., na zaproszenie Redena, zaczęli przyjeżdżać z Europy zachodniej specjaliści, wdrażający tę metodę wytopu także na Górnym Śląsku i tworzących nowe przedsiębiorstwa wydobywcze i hutnicze (m.in. John Wilkinson, John Baildon, Salomon Isaac). Węgiel kamienny stał się od tej pory surowcem niezbędnym do produkcji żelaza.

Dla interesującej nas kopalni łędzińskiej równie ważne było także, obok hutnictwa żelaza, wynalezienie, i to na Śląsku, nowej metody produkcji cynku. Pod koniec XVIII w. dokonał tego właśnie w dobrach pszczyńskich Christian Ruhberg. Pochodził z Ilsenburga w dzisiejszym Sachsen Anhalt, a wtedy należącym do hrabstwa Wernigerode. Na Górny Śląsk sprowadził go ówczesny inspektor hutniczy August Heinrich Kiß z Paprocan (ojciec słynnych później: Wilhelma Kißa – kierownika Królewskiej Odlewni Żeliwa w Gliwicach i Augusta Kißa słynnego pruskiego rzeźbiarza, którego dzieła ozdabiają do dzisiaj liczne berlińskie muzea). Kiß senior zarządzał wtedy po Uhlem Hutą Paprocką, a od 1800 r. został awansowany został nawet na administratora wszystkich kopalń należących do księcia pszczyńskiego Fryderyka Erdmanna Anhalt-Köthen. To on namówił Ruhberga do pracy w Pszczynie i najpierw był on sztygarem w murckowskiej kopalni, a od 1782 r. został faktorem odpowiedzialnym za produkcję i zbyt huty szkła z Wesołej. Od dzieciństwa Ruhberg interesował się doświadczeniami chemicznymi. W Wesołej stosowano już wtedy stosunkowo nową metodę wytopu szkła z wykorzystaniem węgla kamiennego. Przypadkowo, przy okazji prowadzonych wówczas różnych badań laboratoryjnych, dokonał przełomowego odkrycia. Wielokrotnie potem opisywano ten moment, który bardziej przypominał alchemiczne doświadczenie niż dzisiejsze badania naukowe:

Wziął funt miedzi, wymieszał go z funtem sproszkowanego żuźla wielkopiecowego zawierającego galman, pokrył to pyłem węglowym i przetapiał w ogniu przez godzinę. W efekcie otrzymał dwa funty mosiądzu – będnącego stopem miedzi z cynkiem.

To był wstęp do wykorzystania dotychczasowego odpadu – żuźla wielkopiecowego – do produkcji cynku i mosiądzu, metali niezbędnych między innymi do produkcji broni strzeleckiej i amunicji. Ruhbergowi nie było dane skorzystać ze swego odkrycia. Wprawdzie w 1798 r. powstała książęca huta cynku w Wesołej, a tajemnicę produkcji starano się utrzymać z wszelką cenę, jednak nie udało się utrzymać monopolu. „Metoda śląska” produkcji cynku została po kilkunastu latach wykorzystana w hutach królewskich, gdzie ją udoskonalono. Potem pamiętano już nie Ruhberga, ale królewskiego urzędnika Karla Johanna Karstena pracującego nad wykorzystaniem olbrzymich złóż galmanu w Szarleju koło Piekar, gdzie powstała w 1809 r. huta cynku Lydognia, w której posługiwano się tą metodą. Karsten zrobił zresztą olbrzymią karierę w Prusach. Od 1821 r. przez trzydzieści lat zarządzał całym przemysłem metalurgicznym i wydobywczym w państwie Hohezollernów.

Rozwój hutnictwa żelaza i upowszechnienie śląskiej metody produkcji cynku stały się źródłem niekończącej się prosperity górnośląskiego przemysłu wydobywczego do wybuchu pierwszej wojny światowej. Kto miał na Górnym Śląsku hutę żelaza albo hutę cynku, potrzebował coraz więcej węgla, więc albo budował sam kopalnię, albo musiał kupować ten surowiec, najlepiej jak najbliżej huty. Na to wzrastające zapotrzebowanie w dobrach książąt pszczyńskich miała także odpowiedzieć, chociaż w części, łędzińska kopalnia.

Początki: Kopalnia „Heinrichsfreude”/„Radość Henryka”(I) 1843-1845

Z punktu widzenia rozwoju całego górnictwa węglowego na Górnym Śląsku kopalnia w Łędzinach powstała dość późno. Dlaczego z taką opieszałością zaczęto eksploatować złożę, o którym wiedziano już wcześniej, wyjaśniał także książęcy kronikarz E. Zivier. Początkowe zainteresowanie rozwojem przemysłu w swoich dobrach książąt Anhalt-Köthen brało się z nadziei na uzyskanie zysków z produkcji cynku, która legła u podstaw olbrzymich fortun innych śląskich rodzin szlacheckich (Ballestremów, Donnersmarcków, później Schaffgotschy), a przed wszystkim Karola Goduli. Jednak nadzieje na odkrycie dużych złóż rud cynku nie ziściły się, zalegały dalej na północ od ziemi pszczyńskiej. W niespokojnym okresie wojen napoleońskich i kryzysu gospodarczego, który po nich nastąpił, zarzucono inwestycje w hutnictwo żelaza i cynku. Do takich planów w Pszczynie powrócił dopiero jeden z ostatnich z Anhaltów w Pszczynie – Ludwik. Zatrudnił on w 1833 r. dla rozpo-

znania nowych złóż sztygara Brücknera, który miał już spore doświadczenie w zakładaniu nowych kopalni. Zdobył je przy tworzeniu państwowej kopalni „König”, gdzie pracował jego ojciec. Dzięki Brücknerowi doszło do rozwoju pszczyńskiego górnictwa. Sukcesem zakończyło się rozpoznanie nowych złóż łatwych w eksploatacji. W Łaziskach utworzono dzięki Brücknerowi kopalnię „Heinrichsglück” („Szczęście Henryka”), gdzie po raz pierwszy w Pszczyńskim zastosowano maszynę parową, co potem z sukcesem stosowano i w innych zakładach wydobywczych. W tym samym czasie doszło do odkrycia złoża pod Łędzinami w 1842 r.

I tym razem jednak rozpoznanie pola górniczego w Łędzinach przypadło na niedobry moment. W 1841 r. zmarł interesujący się rozwojem przemysłu książę Ludwik, a władzę przejął Heinrich Anhalt-Köthen, który przez sześć lat, kiedy rządził Pszczyną, nie interesował się zbytnio tymi dobrami. Oddał zarządzanie nad nimi powołanemu przez siebie organowi administracyjnemu, tzw. Rentkammer, któremu podlegał od tej pory również nadsztygar Brückner, który w 1843 r. przekazał po rozpoznanie dokładny opis złoża łędzińskiego. Pisał, że na odkrytym przez niego polu mieszczącym się między Łędzinami a Hołdunowem zalega pokład o miąższości 3 m (mieścił się wobec tego w grupie wartości średnich na Górnym Śląsku, ponieważ najwyższe pokłady sięgały nawet 8 m), węgiel zalegał dość płytko, na głębokości 18-20 m (wtedy na Górnym Śląsku eksploatowano najczęściej pokłady do 30 m, ale już niekiedy docierano znacznie głębiej, w drugiej połowie XIX w. nawet do 100 m).

Rentkammer podjęła decyzję o rozpoczęciu eksploatacji złoża, chociaż na niewielką skalę. Pracownikami kopalni w pierwszym okresie byli górnicy spoza Łędzin, przede wszystkim z Wesołej i Murcek. Zarabiali pewnie podobnie jak w innych kopalniach księcia pszczyńskiego w połowie XIX w., czyli sztygarzy od 25 do 30 talarów miesięcznie, mając prawo także do deputatu węglowego, a górnicy na dole od 10 do 20 groszy za dniówkę¹.

Po uruchomieniu wydobywania nadzieja na łatwy zysk z płytkiego pokładu okazała się realna. W pierwszym pełnym roku wydobywania – 1844 – wydobyto około 250 ton węgla. Mimo to książę nie zgodził się na dalsze istnienie kopalni, kiedy pojawiła się konieczność sfinansowania dodatkowych inwestycji. Wydobywanie wstrzymano w momencie, kiedy pojawiła się woda. Zasadniczo w takich przypadkach kopalnię już wtedy potrafiąno skutecznie odwadniać: albo przy wykorzystaniu sztolni od-

wadniających, wyprowadzając jej nadmiar z wyrobisk znajdujących się poniżej poziomu sztolni do szybu wodnego, skąd pompami zasilanymi maszynami parowymi przepompowywano ją na poziom sztolni; albo w wypadku występowania wody ponad poziomem sztolni usuwano ją bezpośrednio pompami. Z sukcesem udawało się to w leżącej nieopodal kopalni „Louis Ehre” w Wesołej, do której w 1841 r. sprowadzono pierwszą w kopalniach pszczyńskich maszynę parową (14-calową). Brak zgody księcia Henryka na podobne rozwiązanie w Łędzinach spowodowało najpierw w maju 1845 r. wstrzymanie wydobywania, a dwa miesiące później kopalnia została definitywnie zamknięta.

Kopalnia „Heinrichsfreude”/„Radość Henryka” (II) 1893-1926

W latach 70. XX w., tym razem już na zlecenie nowego rodu panującego w Pszczynie - Hochbergów, powrócono do idei uruchomienia wydobywania w Łędzinach. Już Jan Henryk X rozpoczął reorganizację pszczyńskiego górnictwa węglowego, tworząc nowy zarząd górniczy kierowany przez Juliusa Brade (Brückner na początku był jednym z członków tego zarządu). Dla Łędzin czas zmian nadszedł jednak znacznie później. Decyzję o ponownym uruchomieniu kopalni w Łędzinach podjął dopiero Jan Henryk XI Hochberg, znakomity organizator życia gospodarczego. Uruchamiał w swoich dobrach nie tylko nowe kopalnie, ale zainwestował z powodzeniem w przekształcenie dotychczasowego niewielkiego browaru folwarcznego w Tydach w olbrzymi przemysłowy Browar Książęcy, a także z dużymi zyskami dobrze zarządzał swoimi folwarkami i lasami. Pozwoliło mu to na przebudowę rezydencji w Pszczynie, w której od tej pory regularnie przyjmował cesarzy niemieckich. To on zlecił sztygarowi Richardowi Böerowi ponowne rozpoznanie złoża łędzińskiego, analizę warunków wydobywania i ustalenie przyczyn niepowodzenia podczas pierwszej próby eksploatacji złoża pół wieku wcześniej. Böer był doświadczonym urzędnikiem górniczym. Pochodził z Wałbrzycha, a potem jako inspektor górniczy (Berginspektor) od 1875 r. zatrudniony był w murckowskiej kopalni. Zdecydował i przekonał księcia do stworzenia powtórnie kopalni w Łędzinach.

Uruchomienie szybu wydobywczego, któremu nadano nazwę „Matylda”, nastąpiło w maju 1893 roku. Oficjalnego otwarcia dokonał kilka miesięcy później (6 października 1893 r.) sam książę Jan Henryk XI, który przyjechał na tę uroczystość ze

¹ 1 srebrny grosz miał w tym czasie wartość około 1 talara.



Do pracy.



„Ekspedycja”



„Lantyna”

Organizacja pracy w biedaszybach
w dwudziestoleciu międzywojennym

swoją nową małżonką. Matylda Urszula zu Dohna-Schlobitten, z którą ksiązę ożenił się w 1886 r., była drugą żoną księcia (pierwsza - Maria hrabina von Kleist – zmarła w 1883 r.) i od jej imienia pochodziła nazwa szybu. Zakładem kierowali od tej pory kolejno Richard Böer do 1897, a potem Cyron do 1913 r.

Nie starając się szczegółowo opisywać zmian w wydobywaniu i opisie kopalni do pierwszej wojny światowej, tutaj tylko przywołamy porównawczo najważniejsze dane o kopalni u jej początków i na rok przed wybuchem pierwszej wojny światowej, na podstawie zamieszczanych co roku statystyk górnośląskich zakładów („Statistik der Oberschlesischen Berg- und Hüttenwerke”).

W 1894 r., czyli pierwszym roku pełnej działalności kopalni łędzińskiej, wydobyto w niej 10,3 tys. ton węgla (z tego w kęsach 3,6 tys. ton). Większa część była sprzedawana tradycyjnie, przy użyciu furmanek, ale prawie połowa zbytu odbywała się transportem kolejowym. Do wydobywania wykorzystywano rocznie 978 m sześciennych drewna i 1146 kg prochu strzelniczego (nie odnotowywano aż do pierwszej wojny światowej stosowania dynamitu). Oprócz pracy ludzkich rąk dodatkową energię zapewniała w kopalni jedna maszyna parowa o mocy 10 KM. Co ciekawe, nie wykazywano wtedy koni pracujących na kopalni.

Z tego samego opisu wynika, że w kopaniu zatrudniano w 1894 r. 50 pracowników (wyłącznie mężczyzn), którzy wypracowali łącznie 12756 dniówek (średnio 255 dniówek rocznie na jednego pracownika). Koszty pracy (sumarycznie wszystkie wypłaty) wynosiły 27695 marek rocznie, co dawało średnio na pracownika około 46 marek miesięcznie. Dane te nie uwzględniają oczywiście różnic w wynagrodzeniu wynikających z zajmowanych stanowisk. Przy ogólnej wartości wydobytego węgla wycenionego na 50 tys. marek, uzyskany dochód ze sprzedaży sięgał 28 tys. marek. Na kopalni zanotowano w tym pierwszym roku jej działalności dwa poważne wypadki przy pracy.

Po 20 latach istnienia kopalni, przed wybuchem I wojny światowej, wykazano w 1913 r. wydobywanie trzykrotnie wyższe, na poziomie 25,5 tys. ton (z tego nadal tę samą ilość w kęsach – ok. 3 tys. ton). Sprzedano w tym roku jednak tylko część wydobywania, około 17 tys. ton. Większość nadal wywożono furmankami (11,6 tys. ton), a podobną ilość jak w 1894 r. koleją (6,2 tys. ton), z czego najwięcej do pobliskiej Austrii. Przy wydobywaniu wykorzystano 226 m sześciennych drewna i 1212 kg prochu strzelniczego. W podawanych danych widać nowe inwestycje: w kopalni było już wtedy używanych 14 maszyn parowych o łącznej mocy 225 KM. Wykazywano również

korzystanie z dwóch koni pracujących przy wydobywaniu. Nie stosowano jeszcze energii elektrycznej, chociaż pojawiała się ona już wówczas w innych górnośląskich kopalniach.

Załoga kopalni w 1913 r. liczyła 62 osoby: 47 dorosłych mężczyzn powyżej 16 lat, 9 młodocianych (chłopców) poniżej 16 lat i 6 kobiet. Większość pracowników pochodziła już z okolicznych wsi. Z Łędzin i Hołdunowa było to nawet ponad połowę. W ciągu roku wypracowano 18646 dniówek, a więc średnio przypadało 300 dniówek na jednego zatrudnionego. Przy ogólnych wydatkach rocznych na pensje wynoszących 57707 marek, uśredniona pensja jednego pracownika miesięcznie wynosiła 77 marek. Pozostawione dane pozwalają pokazać częściowo zróżnicowanie zarobków w zależności od płci i wieku. Mężczyźni zatrudnieni pełnoetatowo średnio miesięcznie osiągnęli pensje około 93 marek miesięcznie, kobiety 26 marek, a młodociani – 21 marek. W przodkach węglowych byli zatrudnieni górnicy i „ślepowie”. Górnicy urabiali węgiel i stawiali obudowę, a do obowiązku „śleprów” należało nie tylko ładowanie urobionego węgla, ale i jego odstawa, w małych kopalniach aż pod szyb. Wydajność na górnika na jedną zmianę szacowano w takich kopalniach jak łędzińska na 1 do 3 ton na robocznodniówkę. Zarobki górników wahały się od 2,5 marki do 3,5 marki dla hajerów przed 1914 r. (odpowiednio rębacze 1,7-2,7, a robotnicy zatrudnieni na dniówkach 1,3-2,2 marki). Prawdziwym utrapieniem dla górników były „świętówki”, za które oczywiście nie płacono, a wyznaczano je w momencie odkładania się zbyt wielkiej ilości węgla na zwalach. Wtedy też wstrzymywano całkowicie wydobywanie z powodu utraty wartości opałowej surowca i kłopotów w zbyciu. Liczba dodatkowych wolnych dni sięgała w niektórych latach nawet 50-60 dni w roku.

Liczba ubezpieczonych w spółkach brackich i zabezpieczonych świadczeniami rentowymi sięgała 50%. W razie wypadków (do 1910 roku zdarzyło się na kopalni 7 ciężkich wypadków wymagających interwencji lub hospitalizacji, kończących się w kilku przypadkach trwałą niezdolnością do pracy oraz 1 wypadek śmiertelny) opiekę nad chorymi przejmowała kamera ksiązęca, przejmując koszty leczenia. Dla członków spółek brackich w wypadku trwałego kalectwa zapewniano emeryturę. Ksiązę pszczyński w takich wypadkach starał się dodatkowo wypłacać jednorazowe zapomogi dla poszkodowanych i ich rodzin.

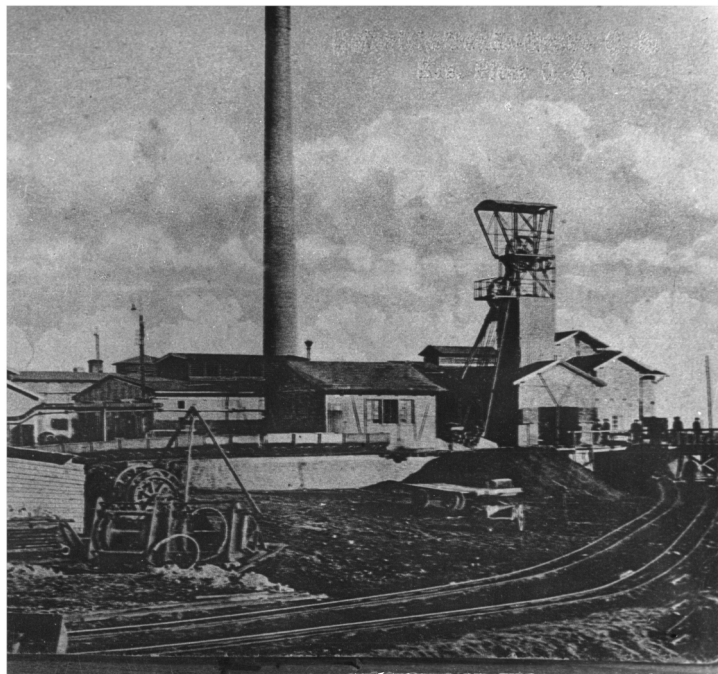
Jak we wszystkich kopalniach księcia pszczyńskiego panowały w niej do wybuchu wojny patriarchalne stosunki. Charakteryzowały się one swego rodzaju „ojcowską opieką” ze strony księcia pszczyńskiego. Ksiązę zapewniał górnikom z okazji jubileuszów nagrody pieniężne, złote zegarki i drobne podarunki

dla rodziny. Często przy takich okazjach bywał osobiście na kopalni. Nie oznaczało to jednak braku konfliktów społecznych. W 1910 r., kiedy na całym Górnym Śląsku walczono o krótszy czas pracy, właściciel, czyli Dyrekcja Księcia Pszczyńskiego próbowała dokonać lokautu w kopalni, który tak opisywała polska prasa:

Najazd na Lędziny. W spokojnej zazwyczaj wsi Lędzinach panował w niedzielę 28. bm. niezwykle ruch. Wszystko co żyło, ciekawe było, co to będzie; spodziewano się bowiem najazdu na spokojną miejscowość. Kapitalistów dreszcze i trwogi przechodziły. Ażeby być

przygotowanymi na ewentualny napad, przygotowali się właściciele kopalni „Heinrichs-freude”, wystawiając na front nie armatę, ale potężną sikawę. Szyb otoczony był wozami, tak że ani mysz nie była by się do szybu dostała. Nadto zamiast jednego stróża, jak zwykle, strzegło tej warowni dwóch „tęgich chłopów. Najazd się odbył, ale nie jak ongi ze strony Szwedów ale ze strony Zjednoczenia Zawodowego Polskiego, organizacji robotniczej. Zwołany był ze strony Z. Z. P. wielki wiec robotniczy, ażeby do Lędzin zanieść kaganiec oświaty robotniczej

i wzmocnił poczynający się tamże ruch robotniczy. Na polu p. Śmiłowskiego (?), na którym zapowiedziany wiec się odbył, setki osób oczekiwało rozpoczęcia wiecu. O godz. zagał wiec p Józef Szyfer z Bogucic katolickiem pozdrowieniem „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus”, zaznaczając, ażeby kierownicy do kierowania wiecu obrali biuro. [...] Jako pierwszy mówca wystąpił p. Henryk Ciemiega z Załęża. W obszernych wywodach przedstawił on zebranym smutne położenie robotnika



Kopalnia w 1924 r.

górnos Śląskiego, wykazał środki, które robotnicy byt swój i nieznośną dolę poprawić mogą, przedstawił jasno i zrozumiałe cele i zadania organizacji robotniczej. Gdy mówca w jaskrawych słowach przedstawił smutny nad wyraz los wdów i sierót po robotnikach, którzy przedwczesną śmiercią poginęli na polu pracy, to cichy płacz wszczął się pomiędzy zebranymi kobietami a i niejednemu robotnikowi łzy do ocz się cisły, bo uprzytomnił sobie, że oni każdy dzień narażeni są na nieszczęśliwe wypadki, na utratę życia przy pracy, i niespodzianie mogą osierocić żony z drobnymi dziećmi. Wzywał mówca zebranych do organizowania się, do wstępowania

do swojskiej organizacji robotniczej – do Zjednoczenia Zawodowego Polskiego, które jest rzeczywistą organizacją robotniczą, które się stara o polepszenie doli robotników. Huczne okłaski były nagrodą za przemówienie mówcy i przekonywujące jego wywody. Następnie zabrał głos p. Szyfer, który wykazał zebranym " konieczność łączenia się. Że dla robotnika nigdzie na Górnym Śląsku rajy niema, wykazał on w licznych przykładach z różnych kopalń. Dowiedzieli się wiecownicy z tych przykładów, jak to panowie” obchodzą się z robotnikami, z tymi, którzy na nich pracują, którzy kapitalistom miliony wydobywają, a sami głód cierpią. Naprzemian i śmiech panował pomiędzy wiecownikami,

bo mówca przykłady swe zabarwił i humorem. Przytoczył on także dwa przykłady z dwu lecznic górnośląskich, jak tam zdrowymi robotnikami się obchodzą i jakie porządki tam panują. Robotnicy wolą w domu niekiedy zostać mimo szukan, aniżeli iść do lazaretu knapszaftowego. – Jedyńm środkiem – wywodził mówca – do poprawy bytu robotnika, to organizacja, skupiajcie się wszyscy pod sztandarem Z. Z. P. Gromkimi okłaskami nagrodzili wiecownicy przemowę p. Szyle-

ra. Przemówił jeszcze p. Handy, porównując kapitalizm z żarłocznym smokiem. Zadaniem robotników być powinno, zniszczyć tego smoka kapitalistycznego, wszyscy robotnicy powinni wstępować do ZZP, a wtenczas robotnikom lepiej będzie.[...] Tak więc odbył się pierwszy wiec robotniczy w Łędzinach, na którym było około 400 osób, w tym około 100 kobiet. Kopalnia szykowała się do obrony a lud z radością witał inicjatorów wieca, bo nie tylko że piękną mównicę u stolarza dał zrobić, ale przystrojono ją jeszcze w zieleń i kwiaty. Przebieg całego wieca był tak wzorowy i imponujący, że wachmistrz, dozorujący wieca, uznał swoje obawy o ewentualnem zaburzeniu za płonne i tem samym jak najlepsze świadectwo obywatelom z Łędzin wystawił. Na drugi raz z pewnością zarząd kopalni „Heinrichsfreurie” nie uszykuje sikawek, wozów i stróżów do obrony kopalni, bo przekonali się w niedzielę, że nikt kopalni atakować nie zamierzał.

Inwestycje w górnictwie były dla Hochbergów przed pierwszą wojną światową niebywale opłacalne. Jak obliczono, w latach 1901–1918 książęce kopalnie w powiecie pszczyńskim przyniosły właścicielowi w sumie z wszystkich kopalń 47,8 mln marek dochodu. W 1912 roku w pięciu książęcych kopalniach na ziemi pszczyńskiej pracowało 2815 robotników.

Epilog: utrata przez Hochbergów kop. „Piast”

Radykalne zmiany w łędzińskiej kopalni przyniosła pierwsza wojna światowa, a potem podział Górnego Śląska na polski i niemiecki po powstaniach śląskich i plebiscycie. Od 1922 r. Łędziny znajdowały się już w odrodzonej Polsce. W miejsce kopalni „Heinrichsfreunde” pojawiła się „Radość Henryka”, a od 1923 roku po prostu kopalnia „Henryk”. W połowie lat 20. XX w. zaczęto używać nazwy „Szyby Piast” („Piastschachte”). Jednak właściciel kopalni się nie zmienił, nadal był nim książę pszczyński, syn Jana Henryka XI – Jan Henryk XV.

Pod względem wydobywania kopalnia nadal nie należała do wielkich w polskim województwie śląskim. Początkowo wydobywanie nawet wzrastało, szczególnie w okresie trzech lat prosperity całej gospodarki polskiej w latach 1927–1929, kiedy w Łędzinach udało się osiągnąć wydobywanie prawie 300 tys. ton, jednak w czasie wielkiego kryzysu gospodarczego nastąpiło dramatyczne załamanie w 1933 r. do zaledwie 80 tys. ton.

Powrót do wydobywania na poziomie 200 tys. ton nastąpił dopiero w 1938 r.

Olbrzymie wahania koniunktury na węgiel prowadziły do destabilizacji zatrudnienia. Najczęściej zwiększenie węgla na zwalach oznaczało stosowane już przed wojną „świętówki” albo po prostu masowe zwolnienia robotników. Pierwsze takie załamanie widoczne było wiosną 1924 r., po reformie walutowej w Polsce, kiedy we wszystkich kopalniach księcia pszczyńskiego zredukowano załogi o jedną piątą. Strajki, które wtedy wybuchły, trwały z przerwami przez 3 tygodnie. Mimo to załogi były nadal redukowane, w Łędzinach, kiedy doszło w rok później do kolejnego spadku zatrudnienia z ok. 500 do ok. 450 osób, ponownie strajковано. Największy kryzys czekał jednak załogę łędzińskiej kopalni dopiero w latach 30. XX w. Od 1933 do 1934 r. zatrudnienie w niektórych miesiącach spadało nawet do niespełna 200 pracowników, mimo zmniejszonego, czterodniowego tygodnia pracy. Wtedy pojawiło się realne niebezpieczeństwo zamknięcia łędzińskiej kopalni, czemu sprzeciwili się przedstawiciele załogi. Protesty łędzińskich górników i wprowadzenie państwowego zarządu przymusowego wstrzymały realizację planu likwidacji zakładów.

Właściciele „Szybów Piasta”, Hochbergowie, mieli już wtedy olbrzymie kłopoty finansowe, zarówno w Polsce, jak i w Niemczech. Sytuacja materialna Jana Henryka XV w tym czasie przedstawiała się fatalnie, mimo że był właścicielem dwóch niezależnych administracyjnie fideikomisów: górnośląskiego, z rezydencją pszczyńską i dolnośląskiego, z zamkiem w Książu. Ich łączną wartość szacowano w 1924 roku na 92 mln marek, ale zadłużonych już wtedy na 31,5 mln marek. W 1934 roku Dyrekcja Dóbr Księcia Pszczyńskiego ogłosiła niewypłacalność olbrzymich zadłużeń wobec państwa polskiego z tytułu nie płaconego od kilku lat podatku na rzecz Skarbu Państwa. Na czele zarządu przymusowego stanął Jan Zieleniewski. Do ugody doszło dopiero dwa lata później. Podpisał ją w imieniu państwa polskiego w Urzędzie Wojewódzkim w Katowicach wojewoda Michał Grażyński i Jan Henryk XV. Książę za zaległości podatkowe oddawał państwu polskiemu lasy książęce i prawo do wydobywania na terenie dóbr książęcych kopalni. Użytkował w zamian apanaże w wysokości 18000 miesięcznie (ok. 3400\$) i mógł nadal rezydować w Zamku w Pszczynie i w zamku myśliwskim w Promnicach. Oficjalnie państwo polskie uchwaliło zniesienie fideikomisu pszczyńskiego ustawą Sejmu RP z 7 sierpnia 1937 r. Jan Henryk XV od tej pory był właścicielem pozostawionych mu nieruchomości jako dóbr alodyfikowanych (nadanych w dziedziczne władanie). Książę zmarł



Widok na kopalnię w dwudziestoleciu międzywojennym

niedługo później, w 1938 r. Jego majątek wyceniono na 162 mln zł i podzielono pomiędzy dwóch synów oraz pozostałych spadkobierców. Ponieważ dobra były dalej zadłużone, roszczenia wierzycieli miały zostać zaspokojone sprzedażą części ziemi i obligacjami dwóch nowych spółek akcyjnych wyodrębnionych z dóbr pszczyńskich: Książęco-Pszczynskich Kopalni Węgla SA i Browaru Książęcego SA w Tychach. Właścicielem 90% akcji spółki węglowej i 60% akcji Browaru Książęcego był młodszy syn zmarłego księcia – Aleksander. Kopalnia „Szyby Piast” była od tej pory jedną z kopalń należących do tej spółki.

Kolejne zmiany właścicielskie przyniosła druga wojna światowa. Kopalnie spółki Książęco-Pszczynskich Kopalni Węgla zostały podczas okupacji niemieckiej najpierw przejęte przymusowo przez tzw. zarząd powierniczy, którego reprezentantem był prawnik z Wrocławia Franz Ludwig. W 1940 r. Hermann Göring, jako pełnomocnik do spraw Planu Czteroletniego, mianował Ludwiga zarządcą komisarycznym Generalnego Zarządu Spadkobierców księcia von Pless, co oznaczało że państwo niemieckie przejęło większość majątku Hochbergów zarówno na Dolnym, jak i Górnym Śląsku

Po drugiej wojnie światowej od 1945 do 1948 roku kopalnia, już pod nazwą kop. „Piast” (nowa nazwa od 1 lutego 1945), należała najpierw w latach 1945–1946 do Mikołowskiego Zjednoczenia Przemysłu Węglowego, a od 1947 r. do Jaworznicko-Mikołowskiego Zjednoczenia Przemysłu Węglowego. Jej właścicielem było państwo polskie na mocy najpierw przejmowania mienia niemieckiego, a ostatecznie ustawy o nacjonalizacji podstawowych gałęzi gospodarki narodowej z 1946 r. Od 1949 roku zmieniono nazwę kopani na „Piast-Ziemowit”, włączając do kopalni Piast część szybów kopalni „Ziemowit I”. W roku 1952 r. powróciła na dwadzieścia lat historyczna nazwa kopalnia „Piast”. Od 1 lipca 1972 roku kopalnia „Piast” została włączona do kopalni „Ziemowit”.

Wybrana literatura:

Bula Rafał: Z dziejów górnictwa węglowego w Łędzinach. Kopalnia "Heinrichsfreude" I i II ("Radość Henryka") I i II: wydarzenia, fakty, materiały. Część 1. Łędziny 2014.

Bula Rafał: Z dziejów górnictwa węglowego w Łędzinach. Kopalnia "Piaś": wydarzenia, fakty, materiały. Część 2. Łędziny 2019.

Kossuth Stanisław: Górnictwo węglowe na Górnym Śląsku w połowie XIX wieku. Katowice 1965.

Łędziny: zarys dziejów, red. Franciszek Serafin, Łędziny 1998.

Musioł Ludwik: Łędziny: monografia historyczna. Łędziny 2005.

Piernikarczyk Józef: Historia górnictwa i hutnictwa na Górnym Śląsku. Cz. 1-2. Katowice 1933,1936.

Polak Jerzy: Poczci panów i książąt pszczyńskich t. I – II. Pszczyna 2022.

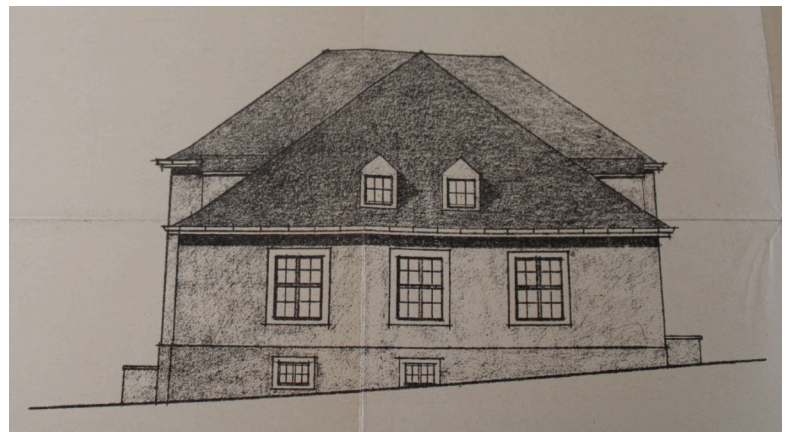
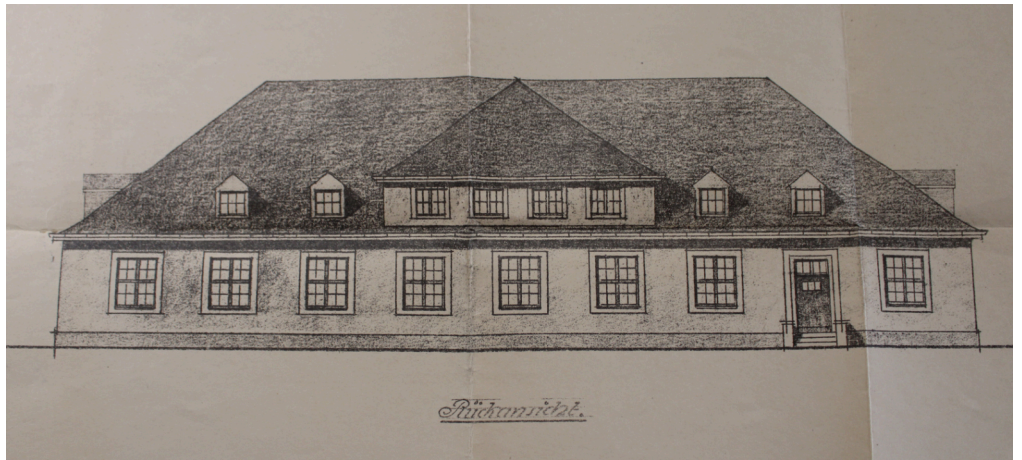
Shinsuke Hosoda: Położenie socjalne robotników w górnictwie węglowym w dobrach książąt pszczyńskich na Górnym Śląsku 1847-1870. Wrocław 1997.

Spiralski Orest: Ośmioletnie Łędziny. Łędziny 2010.

Zivier Ezechiel: Die Entwicklung des Bergregals in Schlesien und die Bergwerksgerechsamte des Fürstentums Pless. Kattowitz 1908.



Flota samochodowa kopalni w dwudziestoleciu międzywojennym



Projekt domu noclegowego dla
nieżonatych górników, 1916 r.



Widok na Kolonię Piast



Wspomnienia załogi

ANDRZEJ BARON

Urodził się w 1950 r. w Bieruniu Starym i z Bieruniem pozostaje związany do teraz. Ukończył zasadniczą szkołę zawodową w Tychach i technikum automatyki górniczej w Tychach. W 1970 r. rozpoczął pracę w kopalni „Piast” w obsłudze urządzeń łączności na powierzchni, a następnie urządzeń łączności na dole. Po połączeniu zakładu z kopalnią „Ziemowit” został przeniesiony do obsługi urządzeń automatyki. W 1975 r. objął stanowisko dozorczy, a rok później sztygara zmianowego w dziale automatyki kopalni „Ziemowit”. W latach 1978-1995 był członkiem kopalnianej drużyny ratowniczej. Przeszedł na emeryturę w 1997 r.

Spółecznik i samorządowiec, zasłużony honorowy krwiodawca, od wielu lat zaangażowany w sprawy swojej miejscowości i powiatu. Od maja 2024 r. pełni funkcję etatowego członka Zarządu Powiatu Bieruńsko-Lędzińskiego. Od ponad 30 lat członek chóru Polonia i aktywny działacz PTTK koła nr 5 przy kopalni „Ziemowit” w Lędzinach.

W latach 70. pracowałem na kopalni „Piast” w Lędzinach, a to był okres, gdy Polska była znaczącym graczem na rynku węglowym. Węgiel stanowił jeden z naszych kluczowych towarów eksportowych, obok żywności, siarki i miedzi. Te cztery towary były głównymi źródłami naszych dewiz, w tym franków, marek i przede wszystkim dolarów, którymi można było płacić w takich sklepach jak „Pewex” i „Baltona”.

Zacząłem pracę jako pracownik na powierzchni, zaraz po ukończeniu szkoły. Doskonale pamiętam tę datę – 12 sierpnia 1970 roku – bo takie wydarzenia na długo zapadają w pamięć. Szczegółnie dobrze pamiętam pana Rafała Bulę, który spisał historię tej kopalni oraz jej pracowników. To wspinały człowiek – otwarty i pełen wiedzy, wręcz chodząca encyklopedia. Znał się na górnictwie jak niewielu, doskonale rozumiał region i miał sympatię do ludzi. Większość swojego życia na górniczej emeryturze poświęcił tej dziedzinie. Pamiętał również te naprawdę trudne czasy. Miałem szczęście pracować z nim przez pewien czas.

Krótko przed moim zatrudnieniem wybudowano nowy budynek (pierwszy po lewej stronie, jadąc od Lędzin), w którym umiejscowiono centralę telefoniczną. To właśnie tam znalazłem zatrudnienie – najpierw zajmowałem się obsługą urządzeń łączności na powierzchni, a potem przeniosłem się pod ziemię i poznałem warunki dołowe. Wcześniej słyszałem o nich od starszych kolegów, którzy tam pracowali, ale rzeczywistość

okazała się inna niż sobie wyobrażałem... Jednak z natury lubię wyzwania i szybko przystosowuję się do nowych sytuacji.

Z kolegami zajmowaliśmy się obsługą łączności, rozwijając kable telefoniczne, montując aparaty telefoniczne oraz przenosząc je w miarę posuwania się ścian. Usuwaliśmy także awarie.

W tamtym okresie wydobywanie prowadzone było w systemie ścianowym. Dawniej, kiedy mechanizacja jeszcze nie istniała, wydobywano węgiel ręcznie, używając łopat. System ścianowy polegał na równoległym drążeniu dwóch chodników w odległości 100-150 metrów od siebie. Pod koniec pokładu wytyczano nowy chodnik, gdzie zaczynało wydobywanie – była to tzw. ściana. Dalej montaż przenośnika zgrzeblowego odbierającego węgiel odbywał się w ścianie, przenośniki taśmowe umieszczano w chodnikach odstawczych. Kiedy ściana się posuwała, naszym zadaniem było przenoszenie telefonów z wyprzedzeniem oraz usuwanie ewentualnych awarii.

Pokłady były dość grube, a praca odbywała się na poziomie około 200 metrów. Nie było to na tyle głęboko, by nie odczuwać znaczących szkód na powierzchni. Dlatego stosowana była podsadzka hydrauliczna nazywana zamułką. Kiedy jakiś odcinek ściany był już wydobyty, wzmacniano go drewnem, następnie pokrywano tzw. płótnem zamułkowym. Do zadań zamułkarzy należało obciążanie tym płótnem przestrzeni za ścianą. Następnie kierowało się tam wyloty rur podsadzkowych, które właczały tam wodę z piaskiem. Potem piasek opadał, a woda odpływała do najniższego punktu, skąd była

odpompowywana. Przy tym systemie osiadanie terenu wynosiło zaledwie 20% – jeśli wydobyto 2 metry węgla, na powierzchni osiadało tylko 40 cm. Przy obecnym zawałowym systemie wydobywania osiadanie terenu wynosi 75%. Pozyskiwanie piasku do zamułki odbywało się między innymi na terenie dzisiejszego Zalewu Dzieckowice, gdzie wydobyto ogromne ilości tego materiału, nie tylko dla potrzeb „Piasta”, ale także dla okolicznych kopalń, w tym katowickich. Transportowano go wagonami samowyładowczymi do miejsca, które nazywano zsydnią. Jedną z takich zsydni znajdowała się niedaleko szybu Piast II przy ul. Łędzińskiej, ok. 100 m za obecną Stacją Kontroli Pojazdów.

Wtedy był tam ogromny lej, przez który prowadziły tory kolejowe, przechodzące następnie przed drogę. Kiedy pociągi przyjeżdżały z piaskiem, wagony samowyładowcze otwierały się na skutek przejazdu przez krzywiznę, a piasek wsypywał się do leja. Obok mieściła się armatka wodna, porównywana do tych, które są używane w wozach strażackich. Z dołu doprowadzone były rury, którymi pod wpływem wody piasek był zmywany do leja. Tam podłączone były rurociągi o średnicy 400 milimetrów, które transportowały materiał na dół, do rejonów, gdzie był potrzebny. Był to zamknięty system: ze zbiorników na dole woda była następnie pompowana z powrotem do leja.

Hałda skały płonnej, dziś już rozplantowana i porośnięta lasem, znajdowała się obok budynków przy ul. Łędzińskiej 24 i 26. W miejscu, gdzie obecnie znajduje się parking, obok obecnego CUS-u, był tzw. wywrot wagonów ze skałą płonną.

Wracając do mojej pracy...

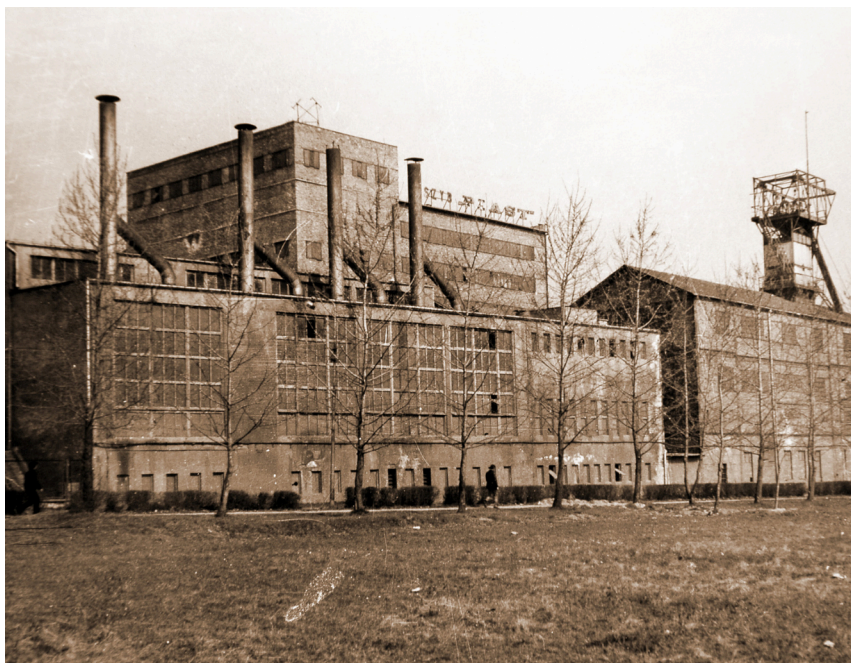
Z biegiem lat obszary eksploatacji ulegały rozszerzeniu, a przełożeni często kierowali mnie do „przodków” do obsługi

łączości. Spośród tych osób szczególnie zapadł mi w pamięć kierownik działu łączości: pan Franciszek Wieczorek z Bierunia, który był dobrym człowiekiem oraz fachowcem, a pan Morawski pełnił wtedy funkcję sztygara. Każdego ranka odbywał się tzw. podział, podczas którego wszyscy pracownicy dowiadywali się, jakie mają zadania do wykonania – czy są kierowani do naprawy uszkodzeń, czy do ciągnięcia nowych linii lub transportu kabli. Pracowaliśmy zazwyczaj w dwuosobowych zespołach dla naszego własnego bezpieczeństwa, ponieważ często przebywaliśmy w rejonach, w które nikt inny się nie zapuszczał, a nasze działania były niezbędne do utrzymania ruchu.

W tamtych czasach korzystano jeszcze z telefonów z lokalnymi bateriami (obecnie zasilane są z powierzchni). Dlatego konieczne było regularne wymienianie baterii oraz lokalizowanie i naprawianie uszkodzeń na liniach. Aby nawiązać łączność z centralą, niezbędna była tzw. polówka, czyli telefon polowy, który nosiliśmy na ramieniu w tekstolitowej obudowie. W związku z tym jeden z nas miał torbę z narzędziami, a drugi – polówkę.

W każdym oddziale na „Piaście” – czy to w górniczym, energomaszynowym czy telefonicznym – praktykowano, że nowi

pracownicy mieli swojego opiekuna. Starszy kolega nie tylko wprowadzał ich w specyfikę wykonywanej pracy, ale także uczył, jak poruszać się po kopalni. Zwracał uwagę na miejsca, w których należy szczególnie uważać, na przykład informując, że w niektóre obszary, takie jak ślepe wyrobiska, nie wolno wchodzić bez odpowiedniego wyposażenia, takiego jak lampa wskaźnikowa, czyli „benzynka”. „Benzynka” służyła do wykrywania dwutlenku węgla. W nieprzewietrzonym wyrobisku gromadziła się tzw. „matowa”, czyli powietrze z dużym stężeniem dwutlenku węgla. Sprawdzaliśmy dwa razy, czy ta lampa nie-



Kotłownia z czterema piecami La Monte'a

siona nisko przy spongu gaśnie. Jeśli tak, zgłaszaliśmy ten fakt do działu wentylacji i zazwyczaj takie wyrobisko się tamowało. Najczęściej tylko zabijano wejście deskami i wywieszano informację: „Uwaga! Wyrobisko ślepe”. Nieczynne wyrobiska, wyeksploatowane już, zamuroвывowało się trwale. Z elementów betonowych, a częściej z podkładów kolejowych murowano na glinie taką tamę. Ale to robili pracownicy wentylacji czy ratownicy górniczy i najczęściej zakładali rurkę wentylacyjną z wodą, aby sprawdzać poziom ciśnienia w tym nieczynnym wyrobisku i monitorować je pod kątem ewentualnego samozapłonu.



Po lewej stary budynek łączności

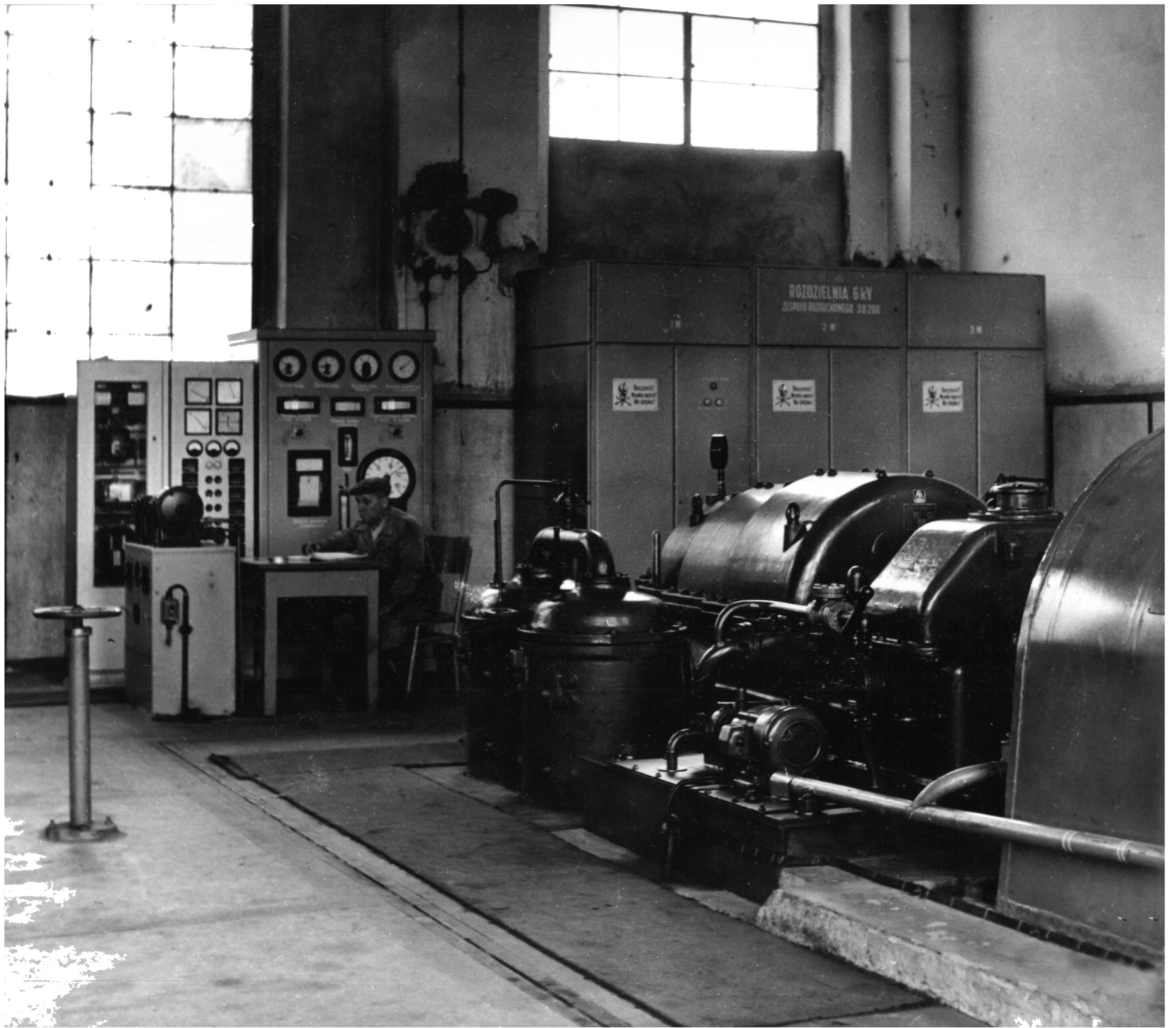
Dokumentacja musiała być prowadzona na bieżąco, a wszystko było notowane ręcznie. Ze względu na panujące w poprzednim systemie podejrzliwość i strach przed wrogiem komunizmu sądzono, że im mniejsze grono będzie posiadać informacje, tym lepiej. W biurach wszystkie maszyny do pisania musiały być po zakończeniu pracy zamykane na kłódkę. Robiono to po to, aby zapobiec włamaniom tzw. elementów antysocjalistycznych i nielegalnemu pisaniu ulotek na tych maszynach. Co więcej, każda nowa maszyna, zanim została za-

instalowana w biurze, była przekazywana do Służby Bezpieczeństwa. Tam funkcjonariusze, w sposób znany tylko im, oznaczali ją, na przykład przesuwając lub pochylając którąś z liter w lewo lub w prawo. Dzięki temu w przypadku przechwylenia jakiejś ulotki, mogli łatwo zidentyfikować miejsce, z którego pochodziła.

Kiedy „Ziemowit” podjeżdżał pod pokłady poniżej „Piasta”, większość ludzi była raczej obojętna. Górnicy w zasadzie nie brali aktywnego udziału w tym, co się działo. Zjeżdżali na dół, wsiadali do wagoników, a następnie byli przewożeni na rejon, gdzie wykonywali swoją pracę. Ogólny brak orientacji przestrzennej był powszechny. Niektórzy jednak, jak miernicy czy my, telefoniści, mieliśmy większą świadomość lokalizacji, ponieważ zajmowaliśmy się dokumentacją, co było kluczowe przy akcjach ratunkowych. Podczas ewentualnego wypadku musieliśmy umożliwić szybkie i efektywne działania ratowników, podając informacje o dostępnych przejściach i ścieżkach ewakuacyjnych. To była odpowiedzialność łącznościowców, ale całością zajmowali się odpowiedzialni za to pracownicy dozoru.

Kopalnia „Piast” miała charakter rodzinny. Panowała atmosfera bliskości, ponieważ w przeważającej części pracowali tam ludzie z Łędzin i okolicznych miejscowości, takich jak Bieruń i Bojszowy. Częściowo z Kosztów, a także z Imielina. Panował też względny spokój, nie dało się jeszcze odczuć takiej pogoni za węglem. Chociaż wydobywanie było duże. Za dyrektora Naczyńskiego pojawił się pomysł otwarcia kawiarni pod ziemią. Dojście miało być z dawnego szybu Matylda... Niestety, zabrakło środków.

Na „Ziemowicie” nie było takiego dobrego nastroju. Powiem szczerze, że po przeniesieniu nosiłem się z zamiarem zwolnienia...



Kompresor

JERZY MANTAJ

Urodził się w 1948 r. w Łędzinach. Uczęszczał do szkoły zawodowej w Tychach. Po uzyskaniu dyplomu mistrza elektromechaniki silników elektrycznych zatrudnił się w 1966 r. w łędzińskiej kopalni „Piast”. Równocześnie uczył się w wieczorowym Technikum Górniczym w Tychach, w wydziale elektrycznym. W 1971 r. został dozorcą w dziale elektrycznym i stamtąd przeniesiony na stanowisko sztygara ds. elektrycznych w oddziale energomaszynowym w dziale Przeróbki Mechanicznej Węgla kopalni „Piast”. Tam otrzymał zatwierdzenie na stanowisko zastępcy kierownika oddziału energomaszynowego. W 1973 r. przeszedł na kopalnię „Piast” w Bieruniu Nowym, gdzie został sztygarem, potem kierownikiem oddziału elektrycznego, a następnie kierownikiem oddziału elektrycznego przy zakładzie przeróbki węgla. W tym czasie kształcił się na kierunku górniczym krakowskiego AGH. W 1994 r. mianowany został nadsztygarem w dziale BHP i tę funkcję sprawował 10 lat, aż do emerytury w 2004 r.

Przez całe swoje życie pozostawał związany z ochotniczą strażą pożarną, najpierw w szeregach młodzieżowej OSP, już od 12 roku życia. Pełnił funkcję Naczelnika Bieruńskiej Ochotniczej Straży Pożarnej przy kopalni „Piast” w Bieruniu w latach 1972-1975. Decyzję tę podjął po pożarze kościoła św. Walentego. Po powrocie do rodzinnych Łędzin został w 1985 r. Naczelnikiem Ochotniczej Straży Pożarnej w Łędzinach i funkcję tę pełnił do 2003 r. Pozostaje członkiem honorowym OSP. Od 2005 r. aktywny samorządowiec, najpierw jako radny powiatowy, a następnie w latach 2019-2024 etatowy członek Zarządu Powiatu Bieruńsko-Łędzińskiego.

Na „Piast” przyjąłem się w 1966 roku, dyrektorem był wtedy Konrad Spyra. Zaczynałem od nawijania silników. To robiłem może trzy lata, w warsztacie przy szybie Piast II. Potem zostałem dozorcą, czyli takim zastępcą sztygara w oddziale elektrycznym, a stamtąd przeniesiono mnie na płuczkę węgla. Tam byłem najpierw sztygarem oddziału energomaszynowego w dziele mechanicznej przeróbki węgla, a potem zastępcą kierownika oddziału. Po połączeniu „Piasta” z „Ziemowitem” miałem pieczętę wbitą wprawdzie „kopalnia Ziemowit” już, ale cały czas byłem na starym „Piaście” do 1973 roku.

Z budową zarówno maszyn dołowych, jak i przeróbczych zapoznałem się w technikum górniczym, gdzie kształciłem się na wydziale elektrycznym, w którym prowadzony był przedmiot maszyny górnicze. To było technikum górnicze przy szpitalu na Cichej w Tychach. Wieczorowe. Na starym „Piaście” pracowałem już z tymi silnikami, a tam chodziłem do technikum. Kiedy przeszedłem na nowy „Piast”, poradzono mi, żeby pójść na studia. No i poszedłem na egzamin. Zdałem. Dostałem się na krakowską AGH, kierunek górniczy.

Ten nasz łędziński „Piast” to była mała kopalnia. Atmosfera była rodzinna. Dyrektor Franciszek Wszolek – porządny chłop – aż do swojej śmierci organizował spotkania dozoru Starego Piasta w trutowisku przy Polanie Hamerla.

Przy kopalni była wypożyczalnia różnego sprzętu, m.in. przyczepy pod namiot, namioty, sprzęt wodny tj. kajaki. W jednym z magazynów znajdowała się strzelnica, którą prowadził

Pan Szkarłat. Kopalnia organizowała też tzw. akcję „Zima”. Zapewniała możliwość zakupu jabłek i ziemniaków po jesiennych wykopkach. Wydelegowani pracownicy kopalni sprzedawali te produkty ludziom, głównie z Hołdunowa. Kto chciał, sobie zamówił – jeden dziesięć worków, inny pięć worków... U kierownika oddziału była lista.

Swoje pierwsze biuro miałem w tym ceglany budynku z otynkowaną fasadą. Na dole był warsztat elektryczny, komory transformatorowe i rozdzielnia 500 V, a wyżej, na piętrze rozdzielnia 6000 V. A w budynku, gdzie była księgowość, tzw. rachuba, na dole była dla dozoru kawiarnia. Potem ją zamknęli, zrobili tam stołówkę.

Na starym „Piaście” były różne sortymenty węgla. W sortowni pracowały panie Dugaj i Stadler. Pamiętam, jak naostrzonymi młotkami, przypominającymi siekiery, oddzielały węgiel od kamienia. To był urobek z robót przygotowawczych. Kamień wrzucały do takich lejów, które miały przy sobie, i to leciało do wagonu kamiennego, a reszta, czyli węgiel – taśmą 204 szła do wagonu kęsów.

W Szybie Piast I przy sortowni było naczynie skipowe, którym urobek wydobywany był na powierzchnię. Węgiel wysypywał się na przenośnik stalowo-członowy, jak gdyby taśmę. I taśmą 205 szło wszystko na ruszt diesel-suski 201. A stamtąd na płuczkę. Przeróbka była nowoczesna i robiła wrażenie. Zakład przeróbki węgla pracował do 1975 r., następnie został zamknięty.



Budynki administracyjne kopalni „Piast”

Na początku przy sortowni, jakieś 50 metrów na lewo od stajni, pamiętam jeszcze, że był budynek ceglany, w którym mieszkali ludzie. Potem przejęła go kopalnia i zrobiła biura spedycji, czyli wysyłki węgla na piętrze. Na dole było laboratorium. Kierownikiem spedycji był Dreszer.

Stajnia była jeszcze przed wojną i tam faktycznie były konie. Pełniła funkcję oddziału gospodarczego na terenie kopalni. Coś drobnego przewieźć, jakieś śmieci... to robiły dwa konie. Potem zrobili w niej kopalnianą betoniarnię. Stały w niej agregaty do zbrojenia i betoniarki. Betoniki były metrowe. Kopalnia produkowała tam te betoniki na własny użytek.

Kiedy pracowałem na starym „Piaście”, zabytkowy szyb Matylda nie miał żadnego szybu zbudowanego na powierzchni. Równo z ziemią było zabetonowane i był tam właz wielkości stolika. Na dół pracownicy kopalni schodzili po drabinach, siedem drabin było, i schodzono do pokładu 207. W pokładzie 207 szli pieszo chodnikiem do szybu Piast II i z tego szybu zjeżdżali na dół do pokładu 209. Część ludzi zjeżdżała dwójką, a część ludzi schodziła do pokładu 207 Matyldą.

Niedaleko dzisiejszego budynku PCSG, ok 200 m w kierunku Bierunia znajdował się szyb wentylacyjny Matylda II. Pamiętam jeszcze drewnianą wieżę szybową i moment likwidacji tego nieczynnego już szybu. To mógł być rok 1970.

JÓZEF MISTEREK

Urodził się w 1943 r. w Chelmie Śląskim, z którym pozostaje związany do dziś. Przez rok uczył się w zawodowej szkole w Katowicach, a następnie przez pięć lat w Śląskich Technicznych Zakładach Naukowych w Katowicach w klasie o specjalności mechanik. W 1963 r. po odbyciu dziewięciomiesięcznego stażu przyjął się na kopalnię „Piaś” w Łędzińcach, gdzie początkowo pracował na powierzchni, jako asystent Głównego Mechanika. Po kilku latach zatrudniony w Oddziale Szybowym na stanowisku dozorczy. Następnie awansował na sztygara zmianowego, a potem oddziałowego. Przez kilka lat czynny ratownik górniczy. Po połączeniu z „Ziemowitem” w ramach Ruchu Piaś pozostał w oddziale szybowym na stanowisku sztygara zmianowego, a kiedy ten został zamknięty, skierowany na szyb Hołdunów, gdzie pełnił funkcję sztygara oddziałowego do swojej emerytury w 1991 r.

Prywatnie pasjonat wycieczek krajobrazowych i górskich, zwłaszcza Tatr.

Na kopalnię „Piaś” przyjąłem się w 1963 roku. Moja rodzinna miejscowość to Chelm Śląski. Przez rok uczyłem się w szkole zawodowej, a następnie przez pięć lat uczęszczałem do Śląskich Technicznych Zakładach Naukowych w Katowicach, gdzie uzyskałem średnie wykształcenie techniczne o specjalności mechanik. Codziennie dojeżdżałem pociągiem do szkoły, który odjeżdżał o 6:30, co oznaczało konieczność wstawania o 6:00. Z naszej klasy na łędzińskim „Piaście” znalazło się trzech lub czterech absolwentów Śląskich Technicznych Zakładach Naukowych. Należy podkreślić, że szkoła ta miała wojskowy charakter – stosowane były mundurki oraz tarcze – to nie była taka szkoła, jak to się mówi, chacharów. Przygotowanie i do pracy, i do studiów było tam dobre.

Ukończyłem technikum i nadszedł czas, aby się usamodzielnić. Sytuacja w domu była trudna, ponieważ mój ojciec pracował jako kolejarz i nie było możliwości, aby studiować, ponieważ wiązałyby się to z dodatkowymi kosztami. Dlatego zdecydowałem się na pracę w kopalni.

Najpierw matka pogadała z Panem Kicią, który był kierownikiem oddziału górniczego, ale on powiedział, że ja nie jestem górnikiem, bo skończyłem Śląskie Techniczne Zakłady Naukowe jako technik-mechanik. Musiałem odbyć na kopalni dziewięciomiesięczny staż. Popracowałem trochę i dostałem kartkę – wezwanie do wojska. Matka wtedy pojechała do referatu wojskowego na kopalni, gdzie załatwiła pismo podpisane przez głównego mechanika, naczelnego inżyniera i dyrektora. Wyni-

kało z niego, że kopalnia się elektryzuje, automatyzuje i mnie potrzebuje. I tak szczęśliwie nie poszedłem do wojska, choć miałem już bilet do Łęczycy koło Łodzi, miałem iść do lotnictwa. Bo jak mechanik, to do lotnictwa.

Potem znowu miałem drugi kłopot, z zatwierdzeniem, bo każdy kto chciał być sztygarem, musiał być zatwierdzony. Zatwierdzenia mi nie chcieli dać, dlatego że nie byłem klasycznym górnikiem. Musiałbym mieć na świadectwie „górnik-mechanik”, a u mnie nie było tego wyrazu „górnik”. Musiałem więc odpracować swoje lata na powierzchni, bym mógł przeskoczyć już jako sztygar do pracy na dół. Najpierw byłem takim asystentem Głównego Mechanika, a potem poszedłem do Oddziału Szybowego na stanowisko dozorczy. Bo kolejność jest następująca: najpierw jest dozorca, potem jest sztygar zmianowy, a potem jest oddziałowy. Skończyłem na tym sztygarze oddziałowym. Byłem też ratownikiem górniczym, a także byłem zastępowym.

Czasem był strach, ale trzeba normalnie to życie brać. Człowiek się nie może bać. Robić musi swoje tak jak trzeba. Na kopalni ani za chytry, za mądry też nie możesz być. Myśmy się nie przejmowali tymi planami rocznymi, pięcioletnimi, dziesięcioletnimi. Był swego czasu taki był główny inżynier, Terenaga na niego mówiliśmy. On tylko chciał poprzeczkę podnosić, na każdej naradzie wyżej. Potem go wreszcie zwolnili. Bo w robocie górniczej to z głową trzeba wszystko robić, a nie bić rekordy.

Ratownictwo było dobrym wyborem. Kiedy szedłem na emeryturę, miałem 48 lat życia, ale 40 lat pracy w związku z tym ratownictwem i inżynier, który mnie żegnał – taki mój dobry kolega, żartował, że miałem 8 lat, kiedy zacząłem pracę, bo tak to z tego wynikało, z tego wyliczenia. Tak to było wówczas liczone. Ale praca ratownika nie była sielanką, miało się dużo obostrzeń, ratownik nie może mieć na przykład brody. Trzeba było mieć bardzo dobre zdrowie i to było regularnie sprawdzane. Mieliśmy specjalistyczne badania, a jednym z nich był test z komorą cieplną. W ogóle, żeby na kopalni robić, to trzeba mieć zdrowie, bo jak się zdrowia nie ma, to się długo nie pociągnie.

Mój teść – Paweł Wojtowicz też pracował na łędzińskim „Piaście”, znaliśmy się zanim poznałem żonę. Teść mój był nadsztygarem energomaszynowym. Miał wykształcenie średnie techniczne zrobione w czasie okupacji. Ale po II wojnie tej szkoły mu władza nie uznała i wtedy poszedł do Technikum Górniczego w Stalinogrodzie, które skończył w 1957 roku. Drugi raz robił szkołę średnią!

Po szychcie wracaliśmy od razu do domu. Ojciec mojego kolegi pracował w kopalni we Francji. Opowiadał, że oni po szychcie szli sobie na wino. My w niedzielę chodziliśmy do kościoła. Łędzinianie szli na Klimont, ale ja zawsze szedłem do kościoła do Chełmu. Na Barbórkę nie było żadnych paczek socjalnych. Dostawaliśmy kawałek kiełbasy, bułkę i trochę wódki. To było całe świętowanie Barbórki.

„Piast” był taką rodzinną kopalnią, pracownicy pochodzili z Bojszów, Chełmu. Bo na „Ziemowicie” to już całe Tychy pracowały. Atmosfera była dobra. Gdy ktoś miał urodziny, to jak coś się dostało, to trzeba też trochę ugościć było, zaprosić współpracowników. Taka mała rodzinka.



Widok na kopalnię w latach 60. XX wieku

AUGUSTYN USZOK

Urodził się w 1941 r. w Bojszowach, w rodzinie Anny i Augustyna Uszoków, górnika kopalni „Piaś” w Łędzinach.

Skończył szkołę zawodową w Łędzinach, a następnie tysi ZEG, uzyskując dyplom technika elektroniki i automatyki górniczej. W 1958 r. rozpoczął pracę w kopalni „Piaś” jako telemonter w Oddziale Łączności na powierzchni, a w niedługim czasie jako telemonter dołowy. W 1970 r. został sztygarem zmianowym, a następnie oddziałowym. W 1975 r. przeszedł na kopalnię „Ziemowit”, do Oddziału Łączności. W 1987 r. awansował na nadsztygara tego oddziału.

W 1968 r. przeprowadził się do Łędzin, miasta rodzinnego małżonki, gdzie mieszka do dziś. Przygodę z kopalnią zakończył w 1990 r. Przez lata pozostawał aktywnym sportowcem. Został założycielem i prezesem klubu sportowego „Górnik Łędziny” przy kopalni „Ziemowit” w 1984 r., gdzie stworzył drużynę piłki nożnej. Związany z klubem do 2005 r.

Na kopalni „Piaś” zostałem zatrudniony 1 sierpnia 1958 roku. Mój ojciec również pracował na starym „Piaście”, zakończył pracę 31 sierpnia 1958 roku, więc przez krótki czas pracowaliśmy razem. Mój brat też wcześniej pracował w oddziale elektrycznym na „Piaście”, a później przeszedł do ZEG-u.

Ojciec wrócił w czasie wojny w 1942 roku z Niemiec. Był ranny pod Charkowem, został przewieziony do szpitala w Dusseldorfie i tam dzień przed zwolnieniem zwiął. Wiedział, że wieczorem wypiszą go ze szpitala i że będzie musiał wrócić na front. Przez prawie rok pracował na kopalni w Dusseldorfie. Potem przyjął się do pracy w kopalni na Janowie, a po roku czy dwóch przyjął się na „Piaś”. Na początku był za ślepra, czyli za pomocnika, potem powoli awansował.

Ja sam miałem wiele zainteresowań, w tym malarstwo. Od zawsze ciągnęło mnie do sztuki. W szóstej klasie pojechałem do Krakowa, gdzie szkicowałem Sukiennice, Bramę Floriańską i Kościół Mariacki. Potem wróciłem do szkoły i starannie to wyrysowałem, a moje prace wisiały na ścianach w klasie. Niestety, nie udało mi się kontynuować nauki w tym kierunku, bo było zbyt wielu chętnych. A poza tym elektronika zaczynała się rozwijać i było to równie interesujące.

Chodziłem do szkoły zawodowej w Łędzinach, a następnie do tyskiego ZEG-u na kierunek elektroniczny, w Zakładzie Elektroniki i Automatyki. Nauczyciele mieli doświadczenie w górnictwie, mieli odpowiednie wykształcenie i praktykę. Na przykład Stuchlik i Fabera, który był dyrektorem, mieli niezwy-

klą wiedzę i umiejętności. Dobrze przygotowali nas do pracy w górnictwie. Pracowaliśmy w warsztatach szkolnych na różnych stanowiskach: od tokarki po magazyny. Było to przygotowanie typowo górnicze np. w oddziałach strzelniczych były wiercenia, ładowanie i odpalanie ładunków, a to wszystko na filarach, na drabinach... W klasie trzeciej zjeżdżaliśmy już na dół. Gdy nauczyciele widzieli w kimś jakieś zdolności w danym kierunku, to tam go kierowali.

Po szkole dostałem przydział do oddziału elektrycznego na powierzchni, gdzie zarabiałem 24 zł dziennie. Na dole stawka wynosiła 50 zł dziennie i to była najniższa stawka! Szybko przeszedłem do łączności na dół. Oddział łączności niby to istniał, ale jego pracownicy byli prowadzeni w różnych innych oddziałach: w magazynowym, w górniczym itd. Rozwinął się jako samodzielny dopiero za dyrektora Franciszka Wszołka, który przyszedł w lutym 1970 roku. Rozpoczął on budowę dyspozytorni nad magazynami.

Nie miałem na kopalni problemów. Ludzie mnie lubili, ponieważ nie bałem się pracy. Matka nauczyła mnie, że muszę umieć wszystko. Gdy miałem dwanaście lat, ojciec przygotował mi kosę, i o wpół do czwartej wychodziłem na łąkę. A matka zapewniła dyscyplinę – musiałem jeść, spać punktualnie, wszystko było na czas. Nie było mowy o spaniu dłużej niż do szóstej, bez względu na to, czy to niedziela, święto, czy wakacje. Nie można się było spóźnić nigdzie. Ani do szkoły, ani do kościoła, ani na autobus. Mieliśmy to opanowane do perfekcji.

Do pracy przyjeżdżałem autobusem 31. Mój ojciec po wojnie jeździł rowerem. Pamiętam, jeszcze, że kiedy byłem dzieckiem, śniegu był ogrom. A trzeba wiedzieć, że nasz dom był ostatni, jak się jedzie w kierunku Jedliny. Tata zaczynał o szóstej, więc musieliśmy wstać bardzo wcześnie, aby zdążyć na czas. Ojciec brał rower na ramiona i szedł z nim do Ścierń, bo tam droga była już odsnieżona i można było jechać. On jeszcze po drodze innych budził, klupał w okna, żeby przypomnieć, że już czas do wyjazdu na szychtę. Takich jak on było wielu, brali rowery na barki i szli w śniegu, od Bierunia już dało się zawsze jechać. Na Rynku zbierało się mnóstwo ludzi i jechali na rowerach. Mój ojciec nigdy się nie spóźniał i prowadził dość rygorystyczny styl życia.

Jako nadsztygar oddziału łączności (kiedy połączony był jeszcze z oddziałem automatyki) zarządzałem pracą około 200 osób. Miałem 12 sztygarów. Rejon wielki. Wielki obszar na dole i powierzchnia. Podlegali mi dyspozytorzy, telefonistki, konserwatorzy, radiowęzeł, dalekopis, centra. I monterzy, którzy zajmowali się łącznością na powierzchni. Na Starym Piaście podlegała mi również lampownia. Nowy budynek centrali powstał dopiero w 1969 roku.

Budynek dzisiejszego Starostwa był siedzibą księgowości i rachuby. Na dole znajdowała się stołówka, a z boku sklepik. Budynki, które istniały w 1958 roku, przetrwały, choć wiele z nich zostało już zlikwidowanych. Moja żona zaczynała tam pracować w księgowości.

Matylda w tych latach to już nie był szyb. Po drabinach się schodziło na poziom 207, już wybrany. Były cztery drabiny. Też tam schodziłem. Wówczas już tylko trzy oddziały pracowały: czwarty, piąty i szósty, a wydobyte z tych oddziałów szło pochylnią na „Ziemowit”. Za dzisiejszym sklepem „NETTO” była upadowa.

Łączenie z „Ziemowitem” przebiegało bez większych tarć między pracownikami, poza tym jednym, że stawka była wyższa na „Ziemowicie” – na wszystkich stanowiskach aż o jedną grupę.

Rywalizacja dotyczyła wydobywania. Na górze naszego budynku centrali była taka wielka tablica. Były na niej wypisane wszystkie kopalnie ze zjednoczenia oraz ich dzienne wydobywanie. Górników to motywowało. Wcześniej, kiedy człowiek przyszedł do oddziału, to przy taśmie na podłodze leżało pełno węgla, aż nie dało się przejść. A przy tej rywalizacji najmniejszy kawałek węgla trafiał na taśmę. Czyściutko było przy okazji, zół aż się świecił.

Co do zamykania kopalni, wiadomo, że nie można tego zrobić nagle. W 1972 roku oddziały kontynuowały fedyrowanie, szyby pracowały, wszystko było sprawne. Ludzie zjeżdżali, łaźnia funkcjonowała, a radiowęzeł działał bez zarzutu. Z czasem jednak radiowęzeł został zlikwidowany. Zamulano też szyby. Najpierw zlikwidowano Piast I, potem Piast II.

Stary „Piast” miał taką atmosferę, jakby jedna rodzina pracowała. Do obojętnie jakiego oddziału się poszło, to jeden drugiemu pomagał. To była lokalna społeczność: Łędziny, Bieruń, Ławki, Smardzowice, Międzyrzecze, Jankowice – te wszystkie okolice. Każdy z każdym się znał. W chodniku po cichu

mówiliśmy sobie „Szczęść Boże!”, głośno nie szło, bo komuna wszystkich nas trzymała.

Na początku zaraz po pracy szedłem do autobusu i wracałem do domu. Nie piłem piwa, do dzisiaj nie piję, ani nie paliłem. Później, gdy już byłem w dozorcze, brałem udział w Spartakiadzie Zakładowej jako trener drużyny. Nie mogłem brać czynnego udziału, bo grałem w nogę w Bojszowach, ale byłem trenerem piłki nożnej swojego oddziału. A sama Spartakiada Kopalniana miała różne dyscypliny: biegi na 100 i 200





Budowa Domu Kultury w latach 60. XX wieku na podstawie projektu mgr. inż. Antoniego Czernowa

metrów, skok dal, skok wzwyż, rzut kulą. Mój oddział powygrał we wszystkich konkurencjach. Spartakiada odbywała się w ramach kopalni: Ruchu Ziemowit, Ruchu Piast, między oddziałami. Na koniec Spartakiady była zabawa organizowana zawsze w grudniu albo styczniu, podczas niej były rozdawane nagrody za te wszystkie konkurencje, np. fotele, stoliki turystyczne... Piękne to było. Później wprowadziłem wycieczki oddziałowe. Rozeszło się to potem na resztę oddziałów. Wycieczki organizowaliśmy w różne miejsca, oddziałowe, w różne strony. Ludzie byli zadowoleni. Organizowałem także zabawy oddziałowe, karnawałowe. Ludzie byli zadowoleni, czuli się jak w rodzinie, swobodnie. Żony się tak zapoznały, całe rodziny się poznały. I te przyjaźnie zostały. Dalej co roku organizuję spotkania dla pracowników, tych co na emeryturę poszli. A ci, którzy robią spotkania oddziałowe też mnie zapraszają. Jako jedyne. Oprócz tego organizuję też co roku, od ponad dwudziestu lat z dyrektorem Antonim Piszczkiem,

spotkania dozoru starego „Piasta”, żeby powspominać. Zapraszamy starostę, dyrektora kompani węglowej.

Pompa świętowania górniczego stanu to stosunkowo późny zwyczaj. Na Barbórkę na starym „Piaście” nie było nic wielkiego, tylko ćwiartka wódki, kawałek kielbasy i bułka. Wszyscy pracownicy wtedy tyle dostali, przydział był wydawany w sklepie w baraku. Potem z tych ćwiartek zrezygnowali. Nie było nic więcej. Świętowaliśmy prywatnie, w domach. Spotykaliśmy się też w ramach oddziałów na Barbórkę, w grupkach pięciu, sześciu, siedmiu do Domżoła, po blisku szliśmy. Dopiero w latach siedemdziesiątych, za Gierka pojawiły się akademie i karczmy. Świętowaliśmy też karnawał, zabawy organizowały oddziały. Wszystkie lokale były pozajmowane: u Lipińskiego, u Domżoła, w „Anicie”, na „Ziemowicie”, w „Basi” też. Cały karnawał zajęty. Każdy oddział sobie robił jakieś prezenty: z węgla, na tokarkach. Tylko telefoniści zawsze musieli coś innego wykombinować.

MIECZYŚLAW ZIELIŃSKI

Urodził się w 1932 r. w malutkiej miejscowości obok Tarnowa. Ojciec był cieślą oraz lokalnym działaczem i patriotą, za co poniósł śmierć w obozie Auschwitz. Jako najstarszy z czworga rodzeństwa w 1949 r. przyjechał na Śląsk za pracę. Ukończył szkołę górniczą w Bytomiu, a następnie Technikum Górnicze nr 2 w Zabrze (1950-1954). Pracę w łódzińskim „Piaście” rozpoczął w 1955 r., najpierw jako górnik, nadgórnik, później jako sztygar zmianowy i kierownik ruchu. Po połączeniu kopalni „Piast” z kopalnią „Ziemowit” został kierownikiem oddziału górniczego G II. W trakcie pracy w łódzińskiej kopalni ukończył studia na kierunku wentylacja na Politechnice Gliwickiej. W 1987 r. przeszedł na emeryturę.

Zasłynął w pracy jako dobry organizator i lider zespołu. Jego sumienność, obowiązkowość oraz zmysł organizacyjny często służyły za przykład nie tylko w polskich kopalniach. Za swoją pracowitość i umiejętności doceniony m.in. podczas wyjazdów służbowych w ramach kontraktów z Przedsiębiorstwem Budowy Zakładów Górniczych za Granicą - KOPEX, do Egiptu (kopalnia fosforytów) i Nigerii (kopalnia węgla), gdzie był odpowiedzialny za modernizację kopalni i systemów wydobywania. Mieszka z rodziną w Tychach. W kopalni „Piast” przepracował 26 lat, w tym 10 lat jako ratownik górniczy..

Pochodzę ze wsi Rzuchowa pod Tarnowem. Mój ojciec był cieślą – budował domy, kościoły. W czasie wojny zginął w Oświęcimiu. Zostało nas czwórka dzieci, ja najstarszy, brat i dwie siostry. Za chlebem wyjechałem na Śląsk. Kiedy powiedziałem mamie, że tam będę pracował jako górnik, to się rozplakała ze strachu, że zginę na kopalni.

Zapisałem się do szkoły górniczej, SPP (Szkoła Przynsposobienia Przemysłowego) w Bytomiu przy ul. Rooswelta. Szkołę tę finansowało państwo. Po ukończeniu 6 miesięcy nauki dostałem nakaz pracy na kopalni „Bobrek”, gdzie pracowałem jako pracownik fizyczny. Dowiedziałem się jednak, że w Zabrzu powstało gimnazjum górnicze. Zapisałem się, później zrobiono z tego Technikum Górnicze. Podczas wakacji przyjmowałem się do pracy. Pracowałem na kopalni „Sośnica” czy „Zabrze” oraz na „Pstrowskim”, gdzie była taka wysoka temperatura, że nie dało się w ubraniach pracować.

Szkołę średnią skończyłem w 1954 roku i od razu dostałem nakaz pracy na kopalni. Wybrałem sobie wtedy kopalnię „Piast” w Łędzinach. Wybór ten był zupełnie przypadkowy, bo nie wiedziałem nawet, gdzie leżą Łędziny. Ale że słowo Piast kojarzy się z historią, to na tę kopalnię padł mój wybór. I tak zacząłem pracę na „Piaście” w 1954 roku, najpierw jako dołowy pracownik fizyczny, nadgórnik, później jako sztygar zmianowy. Miałem smykałkę do tej roboty. Na przykład: był silnik w przenośniku i trzeba było w nim przełączyć fazy. Od elektryków na-

uczyłem się, jak to robić. Potem przychodził pan dyrektor i pytał, kto to zrobił. No, Mietek Zieliński to zrobił.

Aby awansować, potrzeba było ukończyć studia, tak więc skończyłem wentylację na Politechnice Gliwickiej a po połączeniu kopalni „Piast” z „Ziemowitem” w 1972 roku zostałem kierownikiem oddziału górniczego G II. W 1971 roku wjechałem do Egiptu, do miejscowości Al-Kusajr leżącej nad Morzem Czerwonym, do kopalni fosforytów. Wprowadziliśmy tam żelazną obudowę wyrobisk w miejsce dotychczasowej drewnianej. Była to wówczas wielka innowacja w górnictwie egipskim, a dla nas trochę rywalizacja. Pracowali tam wówczas Niemcy i Jugosłowianie, a nie zrobili tego wszystkiego, co ja zrobiłem z moją grupą i paroma robotnikami z różnych kopalń.

Dosłownie uwielbiałem moją pracę. W swoim oddziale lubiłem ład, porządek. Czystość w pracy wydaje mi się niezwykle istotna. Każdy, kto korzysta z maszyn, powinien dbać o ich stan. Może je wyczyścić z mułu, miału, by mogły prawidłowo funkcjonować. Ludziom dałem zarobić, ale wymagałem też od nich zaangażowania. Ponieważ sam byłem na początku robotnikiem, znałem się na robocie. Zaprowadziłem też na kopalni „Piast” różne ułatwienia. Między innymi sprawiłem u siebie komorę narzędziową, której na innych oddziałach nie było. Na kopalni po podziale na brygady ludzie dostawali zadania do wykonania i narzędzia. Te narzędzia chowali po skończonej szychcie w zawałach, w miejscach niebezpiecznych. Kiedy się dowiedziałem o tym, natychmiast zarządziłem, żeby narzędzia

do pracy otrzymywali od komórkarza i po szychcie mieli natychmiast zwracać, nie dość że kompletne, to jeszcze naostrzone. To się wpisywało w dyscyplinę górniczą. Miałem tu do obsługi komórkarza z Łędzin, byłego żołnierza i wszystko elegancko poukładane i opisane. Za tą komorą była wnęka, jakby pokój, gdzie były plany i urządzenia sanitarne, które także wprowadziłem ku zdziwieniu wszystkich. Jednak później każdy sobie to chwalił. Bezpieczeństwo zawsze jest najważniejsze. Sam uniknąłem dzięki temu wielu zagrożeń: śmierci czy poważnych obrażeń.



Wnętrze kawiarni „Basia”

Na „Piaście” był ład, porządek. To było jeszcze stare, prawdziwe górnictwo. Spokój, bez tych przekleństw, standardowym pozdrowieniem było „Szczęść Boże”, bez względu na przynależność partyjną. Uczciwość też taka była, typowo górnicza. Jeśli się miało jeszcze swoich dobrych pracowników, którzy przestrzegali zasad bezpieczeństwa, to naprawdę pracowało się dobrze. A słuchali mnie ci moi pracownicy. Musieli.

Wydobycie było non stop. Chodziło o to, by wykorzystywać maszyny. Jeśli jest maszyna to musi pracować i na siebie zrobić.

W latach 60. kopalnia była modernizowana. Modernizowano właściwie przez cały czas, by unowocześnić kopalnię, wybrać i wywieźć więcej węgla. W szybie I zamontowano skip wtedy, bo wcześniej były wagoniki. Maszyny wyciągowe były bardzo zaawansowane w stosunku do innych kopalń. Nowoczesna płuczka przy „Piaście” powstała dzięki naczelnemu inżynierowi Wszółkowi dopiero w 1970 roku. Podobnie jak kotłownia, która była dobudowana przy płuczce, i sortownia. Przy szybie numer dwa powstało dzięki niemu Centrum Sterowid. Na ekranach telewizyjnych widać było ruch, który odbywał się na dole. Nie wszędzie były kamery, znajdowały się w najważniejszych miejscach, na przykład w szybach. W Sterowidzie zasiadał specjalny dyspozytor, który informował dyrektora, jakie są wyniki, jakie zagrożenia wypadkami. System powstał głównie dla bezpieczeństwa. W miejscu, w którym obecnie jest biblioteka, była rachuba, czyli tu prowadziło się listy płac.

Na „Piaście” byliśmy naprawdę dobrymi kolegami, znaliśmy się dobrze, wzajemnie szanowaliśmy – to były naprawdę piękne czasy. Tu poznałem się z moją żoną, która pracowała w dziale planowania, ja byłem wtedy kierownikiem oddziału. Kiedy byliśmy młodzi, chodziliśmy na różne zabawy – i oddziałowe, i dla dozoru. Wszystko się odbywało tam, gdzie było kino, które należało do kopalni „Piaś”. I akademie, i inne wydarzenia kulturalne. Oprócz kina była jeszcze sławetna kawiarnia „Basia”, w lasku obok kopalni. Chodziliśmy tam oczywiście. Ta „Basia” i sklep wielobranżowy, który prowadził pan Szumilas, to były atrakcje „Piaś”!





Rozdzielnia przy głównym odwadnianiu poz.150



Prace odkrywkowe w Smardzowicach, 1959 r.

Publikacja towarzysząca wystawie *Od „Radości Henryka” do „Piasta”*
w ramach projektu *Szłapcugiyim bez gruba*, realizowanego przez
Powiatową Bibliotekę Publiczną w Łędzinach

Wywiady z pracownikami kopalni „Piast”: Monika Kostyra

Opracowanie wspomnień: dr Joanna Knapik

Projekt logotypu projektu: Kamila Gajer

Projekt graficzny i skład: Ogród Komunikacji, ogrodkomunikacji.pl

Fotografie i mapy archiwalne:

Archiwum Książąt Pszczyńskich w Pszczynie

Fotoarchiwum Jacka Filipiaka - Media JF

Fotografie autorstwa B. Lewandowskiego z albumu *Kopalnia Węgla
Kamienego "Piast" w Łędzinach*, wyd. Jaworznicko-Mikołowskie
Zjednoczenie Przemysłu Węglowego, 1960

Fotografia S. Pierzchańskiego z publikacji *Album obiektów
przemysłowych na Górnym Śląsku*, b.d.